

● JEDEN Z KATYNIA ● BENDER O WYBORACH ● CZY PRZERYWAĆ CIĄŻĘ?
● MATURZYŚCI O MIŁOŚCI ● JAK POLAK Z HOLENDREM ● SOŁŻENICYN
● „NICZYJE DUSZE” ● ZESŁANI DO DIAGILIEWA ● STUDENCKI STRAJK

TYGODNIK
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8630

relacje

LUBLIN, 15-21 VI 1989 R.

NR 22

CENA 70 ZŁ

JEDEN Z KATYNIA

GENERAL MIECZYŚLAW M. SMORAWIŃSKI (1893-1940)

Leszek Wiśniewski

Z LISTY KATYŃSKIEJ (OPRACOWANIE ADAMA MOSZYŃSKIEGO, „GRYF”, LONDYN, 1977): „SMORAWIŃSKI MIECZYŚLAW, GENERAL BRYGADY, UR. 25.12.1893, ZAM. LUBLIN, PL. LITEWSKI 3, KS. OSZCZ. PKO, LEG. KRZYŻA VIRTUTI MILITARI, LEG. OSOB., PAPIEROSNICA, ZŁOTY PIERSCIONEK, 2 MEDALIKI...”.

BYŁ jednym z najmłodszych generalów II Rzeczypospolitej. Awans do stopnia generala brygady otrzymał 1 stycznia 1928 roku, mając trzydzieści pięć lat. Jego podkomendnymi byli późniejsi generalowie, wybitni dowódcy: Mieczysław Boruta-Spiechowicz — w II Brygadzie Legionów, Józef Kustron, Leopold Okulicki, Stefan Rowecki — w 4 pp Leg., Bernard Mond — w 6 DP. Młodszym od Smorawińskiego generałem był jedynie Michał Karaszewicz-Tokarzewski, awansowany w wieku trzydziestu lat. Mieczysław Smorawiński, odznaczony m.in. Komandorią Polonia Restituta, Krzyżem Orderu Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Niepodległości i czterokrotnie Krzyżem Walecznych, uważany był za jednego ze zdolniejszych przedstawicieli polskiej generalicji pokolenia legionowego. Śmierć w lesie katyńskim była kresem jego żołnierskiej służby, przerwanej tragicznie w czterdziestym siódmym roku życia. Jego biografii, choćby krótkiej wzmianki, próżno by szukać w jakimkolwiek powojennym opracowaniu, encyklopedii czy wojskowym leksykonie. Miejsce śmierci, którego, jak każdy żołnierz, nie wybierał, zabralo mu miejsce w oficjalnej historii naszego narodu.

Z Lublinem i Lubelszczyzną związany był Mieczysław Smorawiński w sposób szczególny. Był dowódcą „lubelskich” 8 i 9 pp Leg., przebywał tu w przełomowych dniach listopada 1918 roku, tędy wiodł go szlak bojowy wojny polsko-radzieckiej. W dowódczej karierze gen. Smorawińskiego Lublin stanowił najdłuższy, pięcioletni, etap. O jego początku tak donosił „Express Lubelski i Wołyński” z 4 listopada 1934 roku:

„W dniu 30.X. br. przybył do Lublina i objął obowiązki Dowódcy Okręgu Korpusu II na czas choroby p. gen. Dobrodzickiego, p. gen. bryg. Smorawiński Mieczysław.

Długa i serdeczna łączność p. gen. Smorawińskiego z Lublinem i naszym 8 pp Leg. zaczęła się dawno, bo jeszcze w okresie walk wyzwoleńczych.

W czasie wojny światowej p. gen. Smorawiński służył w 2 pp Leg. — Żelaznej Karpackiej Brygadzie. W pamiętnych dniach listopada 1918 roku przybył do Lublina z Ostrowii Mazowieckiej jako dowódca II bat. 8 pp Leg.

Szczególnie wielkie zasługi położył p. general Smorawiński w walkach roku 1920 pod Hrubieszowem i Zamościem, gdzie na czele brygady w

2 DP Leg. bronił Lubelszczyzny przed zagonami Budionnego.

Po wojnie był d-cą piechoty dywizyjnej 2 DP Leg. w Kielcach, następnie d-cą 6 DP w Krakowie, poczem pełnił obowiązki z-cy D-cy OK III Grodno, skąd przybył na stanowisko p.o. D-cy OK II Lublin”.

General Dobrodzicki nie powrócił już na swoje stanowisko. Mieczysław Smorawiński przejął jego obowiązki na stałe. Nowy przydział służbowy był definitywnym rozstaniem z jednostkami liniowymi, skąd oderwało go przeniesienie do grodzieńskiego DOK; czynił ze Smorawińskiego właściwie wojskowego administratora. Nie czuł się dobrze w tej roli; przeżywał jeszcze rozstanie z krakowską dywizją, gdzie jego obowiązki przejął general Mond. Formalnie, w ówczesnej hierarchii, stanowisko dowódcy Okręgu Korpusu znajdowało się wyżej od dowódcy dywizji; w praktyce oznaczało jednak funkcje planistyczno-organizatorskie w zakresie mobilizacji, logistyki, zaopatrzenia podległych jednostek rozległego terenu wykraczającego poza Bug.

ZAMIESZKAŁ wraz z żoną, córką i synem w budynku Dowództwa Okręgu Korpusu przy Placu Litewskim 3. Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, przy nim gabinet generala. Pracę rozpoczynał wcześniej, po śniadaniu zjadanym samotnie. Obiad jadał zawsze z rodziną. Obowiązki, których nie brakowało na tym stanowisku, pochłaniały go właściwie bez reszty, czasu wolnego pozostawało niewiele. Wypełniał go ulubionym brydżem, wizytami u znajomych, przejażdżkami konno. Konie general Smorawiński uwielbiał. Trzymał swoje w stajni przy Domu „Strzelca”, opodal Ogrodu Saskiego (obecnie rejon Komitetu Wojewódzkiego PZPR), później w koszarach 8 pp Leg. Ulubionym koniem była Wierna, kara klacz z gwiazdką na łbie.

Starsi lublinianie przypominają sobie częste konne spacery i przejażdżki gen. Smorawińskiego. Wraz z władzami miasta i województwa witał on Marszałka Rydza-Smigłego w czasie jego wizyty w Lublinie. Po przywitaniu w rejonie dzisiejszego wejścia głównego do Ogrodu Saskiego, towarzyszył Naczelnemu Wodzowi w samochodzie w trakcie przyjmowania honorów wojskowych.

Inspekcjonował podległe jednostki, których na terenie lubelskiego DOK stacjonowała znaczna liczba, uczestniczył w nadzorowaniu szkolenia taktycznego jednostek, dokonywał przeglądów podległych sobie garnizonów. Józef Gospodarek, mieszkaniec Jakubowic, wówczas żołnierz 24 pp w Łucku tak wspomina wizytę gen. Smorawińskiego w swojej jednostce, w 1935 roku: „Odbywaliśmy ćwiczenia pułkowe, byłem karabinowym ckm. Otrzymał mi zadanie dla plutonu zaryglowania krzyżowym ogniem drogi. Dowodził sierżant Szlipko, ochotnik z wojny bolszewickiej. W trakcie



M. Smorawiński w mundurze generala brygady. Zdjęcie z roku 1938.

Fot. Archiwum

ćwiczeń nadszedł general Smorawiński ze świąt. Czyj to pluton ckm? — zapytał. Szlipko wysunął się do przodu i zameldował. General podał mu rękę i wskazał mnie, leżącego przy ckm, do awansu. Później dostałem się do pułkowej szkoły podoficerskiej. Przed końcem służby, w 1936 roku, general Smorawiński przyjmował defiladę naszego podoficerskiego kursu. Ostatni raz widziałem go dwa lata później, na ćwiczeniach podoficerskich w 8 pp Leg. w Lublinie. General zaglądał do koszar prawie codziennie”.

Dokończenie na str. 8—9

relacje ZE ŚWIATA

● Wyniki I tury wyborów parlamentarnych w Polsce wywołały żywe reakcje prasy zachodniej:

— Włoski dziennik „Corriere Della Sera” zamieścił artykuł pt. „Triumf, który przeraża „Solidarność”. Pismo stwierdza, że agresywna kampania wyborcza prowadzona przeciwko komunistom pod hasłem: „skreślijcie ich”, została zbyt późno skorygowana przez Wałęsę apelem o głosowanie również na kandydatów z listy krajowej. Polacy — czytamy dalej — pogrzebali stalinizm, wystawiając władzy rachunek za czterdzieści lat totalitarnego reżimu.

— Komunistyczny organ, „Unita” pisze, że przynajmniej zwycięstwo „Solidarności”, sensacyjna porażka PZPR, ale także ogromny procent powstrzymujących się od głosowania, stanowią trzy oblicza wyborów i tworzą równocześnie dzisiejszy obraz Polski.

— Belgradzka „Politika” zauważa, że „ciężka porażka komunistów w wyborach parlamentarnych w Polsce została przyjęta ciepko i z konsternacją przez oficjalne koła w Europie Wschodniej, zwłaszcza w Berlinie i Pradze, gdzie przy dylematach, jakie tworzy polski i węgierski pluralizm, przewagę dawano gen. Jaruzelskiemu [...]”.

● Wojciech Jaruzelski odwiedził Brukselę i Londyn. Rozmowa z premier Margaret Thatcher przeciągnęła się do trzech godzin. Analizowano sytuację polityczną po I turze wyborów w Polsce.

● Po masakrze dokonanej na demonstrantach pekińskich przez 27 Armii z Szanghaju sytuacja w stolicy Chin — zdaniem władz — „normalizuje się”. Zdaniem obserwatorów, nadal nie ma jednak spokoju na Placu Niebiańskiego Spokoju. Liczbę zabitych szacuje się na ok. 7 tys.

● Stany Zjednoczone wstrzymały sprzedaż broni do Chin. Senat USA rozważa możliwość zastosowania kolejnych sankcji wobec Pekinu.

● Premier Wielkiej Brytanii, Margaret Thatcher, stwierdziła, że w obecnej sytuacji nie mogą być kontynuowane „normalne stosunki” z rządem chińskim.

● Blisko tysiąc zabitych i rannych pochłonęła katastrofa kolejowa w Baszkirii na Uralu. Olbrzymie ilości nagromadzonego, wskutek przecieku, gazu z pobliskiego rurociągu eksplodowały w momencie mijania się dwóch pociągów. Siła wybuchu była blisko dwukrotnie większa niż bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę w 1945 roku.

● Do krwawych zamieszek na tle etnicznym doszło w Uzbekistanie. Zginęło około 80 Turków meschetyjskich, a do Doliny Fergańskiej wkroczyły silne oddziały bezpieczeństwa. Mniejszość turecka została przesiedlona na te tereny z Gruzji przez Stalina.

● Zakończył obrady Zjazd Deputowanych Ludowych w ZSRR. Utworzono nowy gabinet z premierem Nikołajem Ryzkowem. Ze 100 ministrów poprzedniego rządu pozostało jedynie dziesięciu.

● Sensacja pod Akropolem. Po raz pierwszy przybyła do Aten grupa 31 turystów z komunistycznej Albanii.

● Austriacki szef dyplomacji, Alois Mock, stwierdził, że sytuacja w dziedzinie praw człowieka w Rumunii „nie odpowiada międzynarodowym normom”.

● Z konstytucji KRL-D: „Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna jest suwerennym państwem socjalistycznym, reprezentującym interesy całego narodu koreańskiego”.

● W Seulu doszło do kolejnych zamieszek; tym razem młodzież demonstrowała przeciwko zakazowi, wydanemu przez rząd Korei Płd., udziału w Światowym Festiwalu Młodzieży Demokratycznej, mającemu się odbyć w Phenianie.

● Roczny produkt narodowy brutto KRL-D szacuje się na ponad 20 mld. dolarów, Korei Płd. — na blisko 100 mld.

● Liczba bezrobotnych w Wietnamie sięgnęła pół miliona.

● Na Węgrzech zniesiono karę śmierci za przestępstwa przeciw państwu.

● Stopę inflacji w Jugosławii szacuje się na 600 procent.

● Giną posągi kamiennych olbrzymów z Wyspy Wielkanocnej. Unikalnej wartości, tajemnicze posągi niszczyją wskutek pogarszającej się sytuacji ekologicznej, działania wody morskiej i wandalizmu turystów — alarmuje UNESCO.

● Ukazał się dekret prezydenta Nicolae Ceausescu określający harmonogram dostaw ciepłej wody do rumuńskich mieszkań: w przedzialek i piątki — po 2,5 godziny dziennie, w pozostałe dni — po 4 godziny. Rumunia spłaciła już swoje zadłużenie zagraniczne.

● Tłumy wiernych towarzyszyły imamowi Chomeiniemu w ostatniej drodze, Rozhistryzowani żalobnicy usiłowali dotknąć trumny, odenwał kawalek całunu. W pewnym momencie ciało imama wypadło na drogę. Rannych zostało około 10 tysięcy z dziesięciu milionów uczestniczących w ceremonii.

● Wykryto sprawców katastrofy samolotu linii PAN-AM nad Szkocją. Okazał się nimi członekowie Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny.

● Rajiv Gandhi, premier Indii, zaatakował Stany Zjednoczone za umieszczenie Indii na liście krajów, które zdaniem Waszyngtonu stosują praktyki nie fair w sferze handlu zagranicznego. Indie mają w handlu z USA niewielką nadwyżkę salda — 700 mln dolarów.

relacje Z KRAJU

● Ogłoszono wyniki wyborów do polskiego parlamentu. Przyniosły one zdecydowany sukces „Solidarności”, choć niezmany jest jeszcze pełny skład Sejmu i Senatu. Druga tura wyborów odbędzie się 18 czerwca. W Senacie znalazło się już 92 kandydatów Komitetu Obywatelskiego (na ogólną liczbę 100 senatorów). „Solidarność” wygrała dla siebie 160 spośród 161 bezpartyjnych mandatów do Sejmu. Obsadzone zostały trzy z 264 mandatów koalicji rządzącej. Tylko dwóch kandydatów z 35-osobowej listy krajowej — Mikołaj Kozakiewicz i Adam Zieliński — uzyskało nominację na posłów. Pozostałe vacaty będą przedmiotem „dogrywki”.

● Z oświadczenia J. Bisztygi, rzecznika prasowego KC PZPR: „Wybory miały charakter plebiscytarny i „Solidarność” uzyskała zdecydowaną większość [...]. Konsekwencją wyników wyborów musi być dla opozycji podjęcie współodpowiedzialności za państwo”.

● Z oświadczenia J. Onyszkiewicza, rzecznika prasowego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”: „„Solidarność” była bardzo często oskarżana o to, że próbuje przedstawić siebie jako organizację o znaczącym poparciu społecznym, podczas gdy — jak mówiono — reprezentuje w rzeczywistości bardzo niewielkie odłamy opinii publicznej w Polsce. Obecnie nie da się chyba tej opinii podtrzymać”.

● Z oświadczenia Z. Rykowskiego, zastępcy rzecznika prasowego rządu:

„[...] indywidualnymi decyzjami wyborczymi kierowała przede wszystkim emocja odreagowania. Otwarte pozostaje pytanie — czy suma tych indywidualnych decyzji jest wyrazem rzeczywistej woli zbiorowej społeczeństwa. Ja myślę, że nie”.

● Frekwencja wyborcza wyniosła niespełna 62 proc.

● W Warszawie odbyło się posiedzenie Komisji Porozumiewawczej. Przewodniczyli gen. Czesław Kiszczak i Lech Wałęsa. Strona opozycyjno-solidarnościowa potwierdziła wolę dotrzymania zawartych porozumień „okrągłego stołu”. Strona koalicyjno-rządowa poinformowała o zamiarze zwrócenia się do Rady Państwa o stworzenie możliwości prawnych dla przeprowadzenia wyborów na wakujące 33 mandaty z listy krajowej.

● Gen. Czesław Kiszczak spotkał się z sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu, księdzem arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim. Ks. B. Dąbrowski wyraził nadzieję, że twórcy porozumienia „okrągłego stołu” będą nadal aktywnie uczestniczyć w pracach przyszłego parlamentu.

● Z przedwyborczych sondaży CBOS wynikało, że szanse na uzyskanie nominacji już w pierwszej turze wyborów ma jedynie 55 kandydatów na senatorów. Według tych samych badań, tylko 6,1 proc. wyborców pragnęło, aby Senat składał się w całości z przedstawicieli opozycji. Dyrektor Centrum Ba-

dania Opinii Społecznej, płk prof. Stanisław Kwiatkowski odpadł w I turze wyborów.

● Po ośmiu latach wrócił na rynek wydawniczy „Tygodnik Solidarność”. Pierwszy numer ma podwójne oznaczenie — 1 (38). Redaktorem naczelnym pozostaje Tadeusz Mazowiecki.

● Z kalendarium pierwszego numeru „Tygodnika Solidarność”: „17 czerwca 1983 roku — J. Urban: „(L. Wałęsa) jest to człowiek, który po 13 grudnia 1981 roku też nie okazał, iżby cokolwiek zrozumiał, Lech Wałęsa naszym partnerem się nie stanie”.

● Przewodniczący OPZZ, Alfred Miodowicz, stwierdził, że: „Członkowie PZPR nie mogą należeć do opozycyjnych wobec partii związków zawodowych; to rozbił i unicestwił jedność partii i jej polityczną tożsamość”.

● Na sesję Międzynarodowej Organizacji Pracy wyjechała wspólna delegacja OPZZ i „Solidarności”.

● Wydawnictwo „Iskry” wypuści na rynek książkę Aleksandra Sołżenicyna „Trzy dni z życia Iwana Denisowicza”.

● 45 procent budynków szkół podstawowych w Polsce pochodzi sprzed 1935 roku. Spośród nich jedna trzecia wymaga natychmiastowego remontu. Do końca stulecia przybędzie tym szkołom około pół miliona uczniów. Drugie tysiąclecie państwa polskiego przypadnie w roku 2066.

● W 1988 roku na każde 100 tys. narodzonych dzieci zmarło 131. Opieką w żłobkach objętych było 4,5 proc. dzieci. Z przedszkoli korzystało 50 procent, 2,1 mln. dzieci wymaga stałej opieki medycznej. Aktywność zawodowa

kobiet w Polsce należy do najwyższych w Europie.

● 25 miliardów złotych wyniosły roczne dotacje rządu dla organizacji politycznych w Polsce — stwierdził minister finansów Andrzej Wróblewski w wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Tygodniowemu”.

● Powszechne oburzenie wywołała wiadomość o finansowaniu kampanii wyborczej „Solidarności” przez różne organizacje zachodnie.

● Wysokość aktualnej jeszcze diety poselskiej wynosi 100 tysięcy złotych.

● W 1978 roku „maluch” kosztował 64 tysiące złotych. W roku 1989 osiągnął cenę giełdową bliską 5 milionom. Kowalski nadal czeka na swój samochód.

● 80 procent młodych małżeństw korzysta z pomocy materialnej rodziców, a trzy czwarte zamieszkuje wspólnie z rodzicami.

● „Samorządność pracowników, uspołecznienie własności państwowej, akcjonariat pracowniczy, zespołowe stosunki w pracy, godność pracy i pracownika — gwarantuje tylko PZPR, koalicja rządząca i klasowe związki zawodowe, skupione w OPZZ, będące nie tyle betonem, ile granitem, kiedy trzeba bronić interesów klasy robotniczej” (Jerzy Majka, „Trybuna Ludu”, nr 101).

● Fragment wywiadu Edwarda J. Moskala, prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, udzielonego „Polityce”: — Gdzie — według pana — przebiega wschodnia granica Europy? — Wzdłuż wschodnich granic Polski.

● Sąd Wojewódzki w Warszawie zarejestrował (12 bm.) Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

relacje z REGIONU

● Wszyscy kandydaci Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” z regionu środkowowschodniego do Sejmu i Senatu przeszli w pierwszej turze wyborów. Ponadto mandat poselski zdobyła Teresa Liszcz, członek ZSL, kandydująca w Lublinie. Pozostali kandydaci do Sejmu będą musieli stanąć powtórnie do wyborów.

● Ksiądz kardynał Józef Glemp, prymas Polski, przyjął prof. Ryszarda Bendera.

● W obliczu wyborów przerwali akcję strajkową lubelscy studenci. Komitet Strajkowy NZS w Lublinie wydał oświadczenie: „W czasie trwania strajku otrzymaliśmy kontrowersyjne i zaskakujące swoją ignorancją oświadczenie Krajowej Komisji Rewizyjnej NZS, w którym zarzucono nam prowadzenie działań rozłamowych. Sformułowania użyte w tym oświadczeniu zawierają kłamliwe przeinaczenia faktów oraz urągają podstawowym zasadom kultury politycznej”. Nieza-

leżne Zrzeszenie Studentów nadal oczekuje na rejestrację.

● Okręgowa Komisja Wyborcza w Zamościu zażądała od prof. Wiktora Zina potwierdzenia jego bezpartyjności przez Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie. Warunek został spełniony, po czym prof. Zin wycofał swoją kandydaturę.

● W Zamościu obradowało wyjazdowe posiedzenie Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Przewodniczył wicepremier Ireneusz Sekuła.

● 90 osób zatrąło się salmonellą w czasie wesela w Babinie.

● Zarząd Lubartowskiego Towarzystwa Regionalnego w Lubartowie zorganizował okolicznościowe spotkanie „Moje więzi z Lubartowem”. Licznie przybyli lubartowianie z kraju i zagranicy.

● W Lublinie zniknęła ciężarówka z towarami wartości 15 milionów złotych. Poszukiwania trwały trzy tygodnie. Sprawcę ujęto, choć część zdobytych zdażył już upłynąć.

● Zespół modelek „Femmelette” udał się na pokazy mody do Kowna z kolekcjami lubelskiego i warszawskich Domów „Centrum”.

Oprac. WuDe

XIV ZAMOJSKIE LATO TEATRALNE

Czternastą edycję Zamojskiego Lata Teatralnego inauguruje 15 czerwca Teatr im. Jana Kochanowskiego z Opola przedstawieniem „Mistrz Piotr Pathelin” opartym na anonimowym tekście francuskim z XV wieku, spolszczonym przez Adama Polewkę. Spektakl wyreżyserowała Ewa Filewska, scenografię zaprojektował Paweł Vogler, muzykę skomponował i teksty napisał Krzysztof Kuplowski, a ruch sceniczny opracował Jacek Tomasik.

Opolski Teatr wystąpi z „Mistrzem Pathelin” także w Biłgoraju (16 czerwca) i Tomaszowie (17 czerwca). Przedstawienie Teatru Kochanowskiego prezentowane jest w ramach Teatru Rzeczypospolitej.

20 czerwca w zamojskim WDK wystąpi Teatr im. W. Horzycy z Torunia z dwoma spektaklami, a będą to: „Dziadek do orzechów” E.T.A. Hoffma-

na i „Wieczór z Tuwimem”. Spektakle te następnego dnia powtórzone będą w Hrubieszowie. A.W.



Rys. Arkadiusz Derecki

O SYTUACJI politycznej w Polsce w ciągu najbliższych kilku lat zdecydowała pierwsza tura wyborów 4 czerwca 1989 r. Mówiło się dotąd, że nie mieliśmy od 1947 r. wyborów, były jedynie głosowania. Ale i obecnie zarówno rząd, jak i opozycja wszystkich odcieni nie ukrywały, że nie są to wybory wolne. Nie można ich w ogóle nazwać wyborami w zwykłym słowa znaczeniu. Nie głosowano bowiem na jedną z partii, na własną partię, nie były one proporcjonalne, jak to się dzieje na całym świecie. Swoście skonstruowana ordynacja zmuszała do wydzierania kandydatów z kilku partii naraz, po to by wy-

dzi innymi. Niska frekwencja wyborcza, uchylene się od wyrażenia woli blisko 40 proc. obywateli też ma swoją wymowę. Oba zjawiska wskazują na brak wiary, że nie coś w sposób zaradczy zmieni. Ma miejsce wielkie oczekiwanie. Ono zawodzi triumfem, radością, której po wyborach nie było, albo... masowym zaburzeniami, rewoltą.

W zaistniałej sytuacji obok PZPR i jej sojuszników wyłoniła się faktycznie w Polsce druga partia przeciwstawna kamłaj, przynajmniej w momencie powstania — Komitet Obywatelski. Ten ukształtował się bez sojuszników, właściwie z jednym — PPS. Ustępującemu faktycznie, w tej chwili, system dwupartyjny.

Gdzieś mu jednak do angielskiego czy zachodniemieckiego. Tam każda z tzw. dużych partii wie, że bu-

mierni, ministrów, nie zważając nawet w ogóle na opozycję. Wystarczy w takich wypadkach zwykła większość głosów w Sejmie. Tę partii i jej sojusznikom „okrągły stół” w wyborach zagwarantował.

Z kolei najdrobniejszy akt legislacyjny, jakakolwiek ustawa w parlamencie bez zgody opozycji nie przejdzie. Uchwalona bowiem w Sejmie większością głosów koalicji, w każdej chwili może zostać odrzucona przez Senat, którym niemal całkowicie włada opozycja.

Paraliż życia nie tylko parlamentarnego, ale i państwowego

którego poprzednie gabinety gospodarkę kraju przyzwyczały.

Brak centrum politycznego w przyszłym parlamencie, które by umożliwilo jednej stronie pewną niezależność od drugiej, widać jak na dłoni. Koalicja rządowa i akceptowana przez nią opozycja parlamentarna będą musiały nawet paść sobie w ramiona. Ten uścisk wielu obywateli uzna jednak za zbyt krepujący obie strony i nie do wytrzymania dla narodu. Spowoduje on zamazanie wyrazistości obrazu politycznego kraju. W takim układzie radykalne tendencje różnych grup politycznych i związkowych, które, więcej niż pewne, pojawiają się po wyborach, nie znajdą amortyzującego je środka. „Solidarność”, uwikłana poprzez Komitet Obywatelski (de facto partia z socjaldemokratycznym kierownictwem) w oficjalne relacje z aparatem władzy, tym czynnikiem już się nie okaże.

Wyłonić się będzie musiała po wyborach opozycja pozaparlamentarna. Ona dopiero, wolna od gier politycznych dokonywanych w Sejmie i rządzie będzie w stanie, jak niegdyś związkowa „Solidarność”, wchłaniać i amortyzować niezadowolone społeczne. A towarzyszyć ono będzie, co jest naturalne, poczynaniem obu stron zbratanych przy „okrągłym stole”, poczynaniom podejmowanym w Sejmie czy w rządzie tzw. wielkiej koalicji.

Te i inne sprawy polityczne oraz ekonomiczne będzie musiała uważnie obserwować i reagować na nie opozycja pozaparlamentarna. Stanie się ona jakże potrzebnym dla życia politycznego kraju centrum, chociaż nie trzecią siłą w parlamencie. Obecne wybory nie dopuściły jej bowiem ani do Sejmu, ani do Senatu.

Opozycja ta wypracuje — gdy rzeczywistość ją zmusi — bardziej realną, niezależną od kompromisów parlamentarnych, wizję polityczną i gospodarczą kraju. Następnie, o ile wizji tej nie podejmie rząd lub opozycja parlamentarna, opozycja pozaparlamentarna będzie forsowana poprzez nacisk społeczny, w trudnych obecnie do przewidzenia działaniach.

Jeśli opozycja parlamentarna zechce współdziałać z pozaparlamentarną, może skłonić Sejm wybrany 4 i 18 czerwca br. do wyegzekwowania od rządu właściwych rozwiązań politycznych i ekonomicznych. Głównym orężem stanie się legislacyjne veto w Senacie, trudne — przy obecnym układzie sił — do przełamania w ponownej debacie sejmowej. W przeciwnym wypadku pozostanie już tylko... rozwiązanie Sejmu oraz Senatu i ponowne wybory.

RYSZARD BENDER, profesor zwyczajny KUL, historyk, prezes KIK w Lublinie, wiceprezes chrześcijańsko-demokratycznego Stronnictwa Pracy, niezależny poseł katolicki w Sejmie VII i IX kadencji, najczęściej występujący w debatach plenarnych Sejmu w sprawach najżywoźniejszych dla kraju, takich np. jak zwolnienie więźniów politycznych, relegalizacja „Solidarności”, powiedzenie prawdy o Katyńiu, przywrócenie nazwy Rzeczpospolita Polska.

ZABRAKŁO CENTRUM

Ryszard Bender

pełnić wszystkie miejsca w Sejmie i Senacie. Żadna z partii oficjalnych i nieoficjalnych nie pretendowała bowiem do przejścia miejsc w całości.

Podzielono się nimi już przed wyborami. Tak jak w systemie kurylnym, tym sprzed I wojny światowej, obowiązującym chociażby w Galicji. Demokracji więc nie posunęliśmy nadmiernie naprzód. O rezultacie wyborów zdecydowano, jak wiemy, na długo przed aktem głosowania. Miejsca w Sejmie rozdzielano przy „okrągłym stole”, a faktycznie jeszcze wcześniej, w Magdalence, przewidując w trakcie wyborów niewielkie jedynie odchylenia od 35 proc. na minus, od 65 proc. na plus, a także możliwość 20–30 proc. miejsc dla strony rządowej w Senacie.

Przyjęto więc z góry, nie bacząc na wolę wyborców, dychotomiczny układ sił w parlamencie. Mogli zatem obywatele w pierwszej turze głosować do woli, skreślać, ile się da, partyjnych i ich sojuszników. Skreślanie stanowiło wyłącznie demonstrację, plebiscyt opinii publicznej. Ci skreśleni, poza listą krajową, wędą przeciw i tak do Sejmu, tyle że w drugiej turze.

Demonstrując przeciw PZPR, skreślano nie tylko jej przedstawicieli i ugnupciwań sojuszników. Przy manifealach przeznaczonych dla bezpartyjnych skreślano, dla nierozproszenia głosów, wszystkich, poza kandydatami Komitetu Obywatelskiego, eliminowano nawet opozycję z Chrześcijańskiej Demokracji czy Konfederacji Polski Niepodległej. A ta ostatnia była i pozostała o całe niebo skrajniejsza w nawiązaniu antyrządowym, niż ci co przybrał znak „S”. Leszek Mleczkowski z KPN uzyskał w Krakowie 10,2 proc., a Dariusz Wójcik w Lublinie — 5,1 proc. KPN — zdecydowanie antysystemowa, wręcz strukturalnie politycznym, z którymi zawarł kompromis wyborczy Komitet Obywatelski — bez znaku „S” tylko swemu przywódcy zdołała zapewnić minimalne przekroczenie 10 proc. głosów elektoratu.

Spółeczeństwo zamaniestowało więc swój sprzeciw wobec autorytarnych rządów jednej partii, wzięło odwet za ponad 40 lat ciawienia wolności politycznej w Polsce. Oddało ono swe głosy przeciw rządzącej dziś koalicji, ale nie poparło jej skrajnych przeciwników, opowiedziało się za opozycją spod znaku „S”, umiarkowaną, a nawet powiązaną z ekipą władzy oficjalnymi umowami „okrągłego stołu”. (Nieoficjalnych, miejmy nadzieję, umów nie było).

Nie może więc nikogo dziwić brak entuzjazmu. Tłumy, nawet skracanie liczbowo, nie manifestowały radości. Dlaczego? Oto pytanie dla socjologów, dla prof. Kwiatkowskiego mie-

dując wielką koalicję rządową, nie jest na nią skazana, ponieważ w każdej chwili może stworzyć małą koalicję z trzecią partią, np. w Niemczech FDP. U nas zabrakło tej trzeciej partii, amortyzującej nieuchronne w przyszłości napięcia polityczne między obu siłami w wybranym parlamencie. A w łonie Komitetu Obywatelskiego nie pojawiła się, jak dołąd, i chyba nie pojawi się frakcja, która mogłaby wyrosnąć na trzecią partię. „Drużyna”, używająca znaku „S”, za cnotę uznana bowiem już w kampanii wyborczej zwartość i posłuch bezwzględny dla „trenerów”.

Dla życia politycznego w Polsce, a parlamentarnego w szczególności, nie okaże się to korzystne, iż Komitet Obywatelski nie stał się federacją wyłamujących się z niebytu politycznego partii, osadzonych głęboko w tradycji i mentalności Polaków, obok wspomnianej PPS także PSL, Stronnictwa Pracy, Stronnictwa Narodowego.

Jest uludą, utopią liczenie na utrzymanie się w Polsce systemu dwupartyjnego, złożonego z komunistów i byłych komunistów, którzy ewoluowali ku socjaldemokracji i ujęli sfer Komitetu Obywatelskiego w swoje ręce. Chrześcijańskie społeczeństwo na dłuższą metę nie uzna za własną opozycję nawet z znakiem „S”, kierowaną przez socjaldemokratyczną górę. Nie przekona się wielu Polaków do socjalizmu nawet z najbardziej „ludzka twarzą”. A to wydaje się być celem strategicznym, przynajmniej kierownictwa, ukształtowanej w tych wyborach opozycji parlamentarnej. Brak jawnego wypowiedzenia się w tej sprawie, kluczenie, polityczne msandry, układy ze stroną rządową mogą zdystansować niebawem znaczną część elektoratu wyborczego do swych reprezentantów w Sejmie i Senacie.

Wspomniane układy będą musiały następować. Zmusza do tego sytuacja polityczna, ruina gospodarcza i cywilizacyjna Polski. Ułatwi je przywódcem obu stron wspólna genealogia polityczna. Frazeologia wzajemnej walki nie zmyli uwagi społeczeństwa. Potrafi ono obecnie właściwie ocenić scenę życia politycznego w kraju. Zdaje sobie sprawę, że obie strony są w parlamencie na siebie skazane, jeśli system legislacyjny i rządzenia państwem ma kształtować się poprawnie w interesie kraju i obywateli, a nie chaotycznie, jak dotąd.

To ostatnie zjawisko nadal jednak grozi, a może nawet się nasilić, jeśli nie zaistnieje równowaga parlamentarnych działań mniejszości opozycyjnej i większości tzw. koalicji. Koalicja może powoływać gabinety rządowe, pre-

jest więc niewykluczony, a nawet więcej niż prawdopodobny, o ile w imię wyższych racji opozycja i koalicja nie wezmą się za ręce. Ten uścisk może być jednak zbyt silny dla jednej lub drugiej strony i przekraczający niekiedy możliwości percepcji społeczeństwa.

Dla zachowania wyrazistości politycznego oblicza jedna czy druga strona może stosować obstrukcję parlamentarną lub grę pozorów, od słów nie przechodząc do czynów. Wystarczy np. nie uchwalić budżetu. O efektywnym, zrównoważonym budżecie państwa obecnie nie ma co marzyć. Pozostaje wówczas jako ostateczność przyjęcie prowizorium budżetowego. Ono jednak nie może dokonywać się permanentnie.

Inny problem — absolutorium dla rządu. Trudno sobie wyobrazić entuzjazm opozycji dla gabinetu, w którym nie uczestniczy. Przy obecnym napięciu politycznym i kryzysie ekonomicznym kraju każdy rząd znajdzie się w ogniu krytyki. Nieudzielenie przez opozycję absolutorium rządowi zaważy na jego dalszych pracach i losach, na biegu spraw państwa.

Będzie to miało również reperkusje zagraniczne. Kto w świecie liczył się będzie z rachitycznym, chwiejnym gabinetem rządowym?

Wejście z kolei opozycji do rządu zwiąże ją znowu z odpowiedzialnością za jego legitymizację, za potwierdzenie prawa koalicji do kierowania państwem. Przede wszystkim jednak fakt taki wiązać się będzie z wzięciem współodpowiedzialności za gospodarkę kraju, znajdującą się więcej niż w ruinie. Nie byłoby problemu, gdyby strona opozycyjna miała swojego Władysława Grabskiego czy Eugeniusza Kwiatkowskiego wraz z ich przełożonymi na język współczesny koncepcjami ekonomicznymi. Nikt taki, jak dotąd, się nie pojawił. Koncepcji też nie ma, a gdyby nawet były, należałoby się liczyć z ustępstwami we wspólnym rządzie na rzecz systemu rozdzielczo-dotacyjnego, do

NAD PROJEKTEM USTAWY ZAKAZUJĄCEJ PRZERYWANIA CIĄŻY

BEZROZUMNA SIŁA ZDEMORALIZOWANYCH MAS

Adam Kalbarczyk

Nie wszyscy w relacji zgadzają się z poglądami wyrażonymi przez autora artykułu. Zapewne podobna sytuacja powstanie wśród czytelników. Publikujemy tekst w nadziei, że wywoła on dyskusję na ten kontrowersyjny i bardzo trudny temat.

(Red.)

BATALIA o ustawę zakazującą zabijania dzieci nienarodzonych musi napędzić niepokojem i zdziwieniem każdego, kto z troską obserwuje nasze życie społeczne. Obraz świadomości polskiego społeczeństwa, który zarysował się w trakcie tej batalii, skłania co najmniej do pesymizmu. Ignorancja i utrata poczucia podstawowych wartości, których dowody można każdego dnia znaleźć na łamach prasy czy w głośniku radia, mogą zaniepokoić chyba nawet średnio wrażliwych obserwatorów naszej rzeczywistości.

To, co ukazała (i ukazuje) burza rozpalana w związku z nowym projektem ustawy zgłoszonej w Sejmie przez posłów katolickich, jest doskonałym, acz przyprawiającym o zawrót głowy, świadectwem stanu moralnego i intelektualnego Polaków pod koniec XX wieku. W tym świetle zdecydowanie bardziej przerażające zdają się straty w sferze psychicznej i moralnej narodu niż nawet najwyższe sumy zadłużenia Polski za granicą.

Aby było to całkiem jasne, chcę podkreślić, że głównym celem tego tekstu jest sprzeciw wobec rzeczonych głupoty i demoralizacji polskiego społeczeństwa. Świadom zarazem jestem, że raczej nikłe szanse mają w tej sytuacji wszelkie głosy zdrowego rozsądku (jak widać, nawet wcale nie rozumu, ale minimalistycznie pojmo-

wanego zdrowego rozsądku) w obliczu wojujących działaczek (społecznie użytecznej) Ligi Kobiet Polskich czy ówczesnych inteligentów spod różnych znaczków orientacji laickich (takich, którzy w większości mieliby chyba wielkie problemy ze zdefiniowaniem pojęć „laicki” lub „humanizm”) czy po prostu (zdejmiemy niepotrzebne etykiety) wszystkich tych, którzy posługując się niefortunnie rozumianymi przez nich samymi hasłami, starają się narzucić swą bylejaką myślą i (lub) etyczą.

Występuję więc przeciw temu, czego obawiał się Ortega y Gasset, pisząc w latach 20-tych naszego wieku „Bunt mas” — przeciw bezrozumnej siłce zdemoralizowanych mas, które, jak widać w nieszczytnej kampanii toczonyj o wymienioną ustawę, składają się w niemałej części na nasze społeczeństwo.

Możliwe, że moje uogólnienia są niesłuszne. Możliwe, że to, iż środniki masowego przekazu, podając nam opinie tzw. „ludzi z ulicy”, semnują karykaturalnie wręcz idiotyczne sprzeciw wobec projektu ustawy o zakazie przerywania ciąży, wynika ze starannej selekcji tychże opinii, co mogłoby świadczyć o jeszcze jednym typowo polskim, genialnym wynalazku, któremu na imię pluralizm, a zasada działania to pomnożony monizm. Bez względu jednak na uogólnienia i ewen-

tualną nawet manipulację opiniami, ci, którzy dzwonią do radia, piszą do prasy (czy w prasie), organizują pochody etc., nie robią tego najprawdopodobniej za pieniądze, i tym gorzej dla nich.

Zjawisko masowego buntu wobec projektu nowej ustawy jest niepokojące z jeszcze jednego względu. Nic nie może chyba lepiej dopełnić obrazu demoralizacji naszego społeczeństwa jak to, że bodaj to pierwszy projekt ustawy w historii PRL, który wzbudził tak szerokie kontrowersje. Żadna z ustaw, które polski Sejm ustanowił po 1947 r., a których moralna kwalifikacja jest zdecydowanie łatwiejsza do określenia niż w przypadku tego projektu, nie wzbudziła tak szerokiego protestu, jak właśnie ta, która, przynajmniej w intencjach, bierze najbardziej podstawowych wartości etycznych.

Rzeczą oczywistą jest, że wartości pozostają wartościami bez względu na czyjąś przynależność partyjną, bez względu na światopogląd i religię. Zarówno ateista, jak człowiek wierzący nie mogą odrzucić trwałego przeciw systemu wartości, niezależnie od tego, czy sądzą, że pochodzi on od Boga, czy od ludzi. Chcę bronić w tym tekście wartości i chcę, jeszcze raz powtarzam, bronić zdrowego rozsądku i uczciwości.

We wszelkiego rodzaju polemikach z tym projektem ustawy nagminnie jest pomieszczenie wartości i kategorii, odwracanie hierarchii, demagogia i zwykła ignorancja. Zaczniemy od obrony zdrowego rozsądku. Fakty są takie: każdy biolog jest w mocy potwierdzić to, że zapłodniona komórka jajowa jest zupełnie odrębną jakością biologiczną, jest takim ukła-

dem chromosomów, który nadaje mu rangę życia. Zygota zatem to już nowe życie — nieświadome wprowadzie i zależne od matki, ale i nowonodek nie przestaje być nieświadome (jeśli nie traktować świadomości jedynie jako funkcji wykładu EEG) i uzależniony od kogoś z obciążenia. Fakt zatem jest taki — już zygota jest to nowe życie, to już nowy Człowiek; co prawda, jak stwierdził jeden z moich przyjaciół, „zwykle bez tytułu naukowego”, a nawet bez imienia. Podkreślam — jest to fakt, bez względu na to, czy się jest katolikiem czy ateistą, demokratą czy komunistą.

Nie przekonujemy się więc nawzajem, że chodzi o przerywanie ciąży. Tu zaczyna się obrona zwykłej, ludzkiej uczciwości. Powiedzmy sobie uczciwie: „zabijamy” — w tym znaczeniu, jakże to słowo ma pierwotnie, tzn. „pozbawiamy życia”. Kogo? Ano owego bezimiennego Człowieka, który jeszcze nie doszedł do tytułu naukowego.

Dopiero, jak to przyznamy, możemy dalej dyskutować — co usprawiedliwia na przykład zabicie takiego człowieka, kto to może zrobić, kiedy, dlaczego itp. Niektórzy się w tym momencie obruszają. Zwykle powody obruszenia są dwa: albo się stwierdzi, że fakt opisany przez mnie wyżej nie jest faktem, albo że nie jest faktem kompletnym. Ci pierwsi dyskutują nad granicami życia — i tu już kończy się zdrowy rozsądek — jedni twierdzą, że embriion staje się człowiekiem około trzeciego miesiąca swego rozwoju (kryterium jest tu rozwój mózgu), inni że dopiero r. rodzenia.

Nie jest moim celem, ponadto sądzę, że szkoda czasu na odpieranie tych argumentów. Tym bardziej, że fakt pozostaje faktem i nie sposób go podważyć, chyba że się chce siebie albo kogoś oszukać. Dla poszukiwaczy nowych teorii granic życia podają jeszcze jeden pomysł — na przykład dlaczego nie uznać człowieka za człowieka dopiero, gdy zacznie pracować?

Myszę, że jeśli ktoś ma problemy z abstrakcyjnym myśleniem, to może w sposób obrazowy uzmysłowić sobie fakt, o którym piszę i który faktem z uporem nazywam. Jeden z moich przyjaciół jest drugim dzieckiem z tzw. konfliktu serologicznego. W czasie, kiedy był poczęty, ogromna większość takich dzieci rodziła się z nieodwracalnymi zmianami materiału genetycznego. Gdyby został „us-

STWORZYŁ Bóg niewiastę z zebra Adamowego. A kiedy Adam obudził się, rzekł: ta dopiero będzie kością z moich kości i ciałem z mojego ciała. W ten oto sposób, w interpretacji Biblii, świat zyskał tę, która odtąd stać się miała jego ozdoba i utrapieniem, błogosławieństwem i przekleństwem. Przed pierwszą parą w dziejach ludzkości postawił Bóg zadanie małżeńskiej płodności, ale także i wzajemnej miłości. [...] Tak więc pierwszym uczuciem, jakby usankcjonowanym mocą boskiego wyroku, była właśnie miłość.

Cytowany powyżej fragment autorstwa Agnieszki Grabowskiej, maturzystki Liceum im. Mikołaja Kopernika w Lublinie, stanowi rodzaj biblijnej uwertury do tematu tegorocznego pisemnego egzaminu dojrzałości z języka polskiego, zaproponowanego przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Lublinie. Temat ten — spreycyzowany niebanalnie: „Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto! ale nie tylko, czyli o różnych sposobach wyrażania uczuć do kobiety w poznanych lekturach” — został przyjęty w sposób kontrowersyjny zarówno przez nauczycieli, jak i młodzież.

Większość uważała, że jest to temat za trudny, nie oczekiwany przez nikogo, do którego abiturienti nie zostali odpowiednio przygotowani. Inni wyrażali opinie, że jest piękny i potrzebny, daje duże możliwości młodzieży wrażliwej estetycznie, dojrzałej, nie tylko intelektualnie, ale także psychicznie.

Faktem jednak jest, że zdecydowana większość maturzystów potraktowała tę propozycję Kuratorium niechętnie, a nawet z dezaprobatą. Dla przykładu: w Liceum im. Stanisława Staszica na 177 piszących podjęło ten temat 17 osób (ok. 9,6 proc.), w Liceum im. Jana Zamojskiego na 215 — 38 osób (ok. 17,6 proc.), w Liceum im. Mikołaja Kopernika na 147 — 10 osób (ok. 7 proc.).

Trzeba rozważyć rację tych, którzy

twierdzą, iż poprzeczka na tegorocznym egzaminie pisemnym z języka polskiego została podniesiona, w związku z czym nie przyzwyczajony bądź niezdolny do samodzielnego myślenia maturzysta musiał stanąć bezradny przed tematami sformułowanymi w sposób odbiegający od przyjętych schematów. Do takich należał również temat dotyczący „tradycji dialogu Polaków w sprawach narodowych i społecznych”. Dobrze to czy źle, że o-

rzeczy byłoby tutaj przypomnienie niechlubnej próby „uczenia” miłości z podręcznika szkolnego pod nazwą „Przysposobienie do życia w rodzinie”, który wywołał burzę protestów ze strony młodzieży, rodziców i kół katolickich, w wyniku czego został wycofany z użytku decyzją ministra edukacji narodowej.

W całym „Programie Liceum Ogólnokształcącego oraz Liceum Zawodowego i Technikum” z języka polskie-

gozna, że większość piszących doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

„Wielu mężczyzn zastanawiało się i będzie zastanawiać nad obliczem kobiety i nigdy nie pozna jej do końca, gdyż jest ona »istotą księżycową« — pisze Ewa Nowiszewska. „Kobieto! puchu marny! Ty jesteś jak zdrowie, ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto Cię stracił” — jak gdyby wtóruje jej Jarosław Kiciak, który tą parafrazą słynnych cytatów z Mic-

MATURZYŚCI O MIŁOŚCI

KOBIETO! PUCHU MARNY!

Maria Pobóg

prócz wiedzy i znajomości lektury wymaga się od zdającego inteligencji i wyobraźni, zwłaszcza teraz, kiedy planuje się połączenie matur z egzaminami na wyższe uczelnie?

Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi, bowiem rzeczywistym celem niniejszych rozważań jest zaprezentowanie stopnia dojrzałości psychicznej i kultury literackiej tej młodzieży, która zdecydowała się pisać o miłości kobiecie w literaturze, a także próba docieczenia, czy szkoła współczesna przygotowuje do zrozumienia i odcucia tej najpiękniejszej i najtrudniejszej z ludzkich spraw, o której nie pisze się w podręcznikach literatury i zgola rzadko dyskutuje przy omawianiu lektury szkolnej, bowiem nie pozwalają na to — brak czasu i program. Nie od-

go znalazłam tylko jeden fragment, który można uznać za związany z omawianym tematem: „Odkrycie bogactwa emocjonalnego jednostki i stanów jej podświadomości” (Romantyzm — kl. II — kienunki interpretacji). Trudno się zatem dziwić, że tak niewielki procent młodzieży zdecydował się łamać pióra i głowy nad tym, o czym nie wiadomo, jak pisać i jakiego używać języka, bowiem słownictwo znajdujące się w obiegu potocznym zupełnie się do tego nie nadaje, a kultura współczesna — w tym zwłaszcza film i literatura — najchętniej posługują się wulgaryzmem i brutalnym seksem.

Trudno jest przeżyć miłość, trudniej zrozumieć kobietę, a najtrudniej wyrazić i nazwać uczucia. Rzecz szcze-

kiewiczza pragnie wyrazić swoje uczucia do kobiet. Wydawać się może, że mając zaledwie 19 lat, poznał już Tajemnicę Słabej Płci: „Kobieto!!! Wy wcale nie jesteście bezbronne, nawet nie wiecie, ile potraficie. To przecież wy trzymacie ster rządów tego świata. Uśmiech, kokieteria, intryga, czcza o-bietnica i uzyskanie wszystkiego od nawiętego mężczyzny. Kobieta rządzi tym światem i nieszczęśliwą mężczyzną również. Romantycy o tym wiedzieli, ale nie mogli, nie mieli siły się przeciwstawić. I kto tu jest »puchem marnym«?”

Trzeba przyznać, że jakość i ilość źródeł, do jakich odwołują się piszący, dowodzą sporego czytania i dobrego smaku.

W tych młodzieńczych rozważaniach odnajdujemy nie tylko Księgę Genetis,

nięty", miałbym dziś jednego przyjaciela mniej, i to takiego, którego wcześniej nie dane mi było poznać. I doprawdy metafizyczny zdaje mi się wywód, że gdyby „usumięto” go w drugim miesiącu ciąży, to nie zabito by człowieka.

Drudzy, którzy się obmuszają na wyrażanie uznania faktu powstania nowego życia w wyniku zapłodnienia, twierdzą, że tak, że to może i życie, ale jeszcze zupełnie temu życiu obojętne, czy żyć będzie, gdy tymczasem jego matce — wręcz przeciwnie. To już nie tyle próba podważenia faktu, co sprawa uczciwości wobec jego prawdy. Pozostawmy więc i to bez komentarza.

TAKI mamy zatem punkt wyjścia. Jeśli będziemy bronić zdrowego rozsądku i uczciwości, dyskusja, jaka z tego punktu wynika, to dyskusja o tym, co może usprawiedliwić zabójstwo owego bezmiennego człowieka. Nie można w żaden sposób obronić koncepcji postępu, bo postęp jest pojęciem zależnym chyba w głównej mierze od wartości. Częstokroć demagogia „postępu” nie odróżnia relatywizmu obyczajów od relatywizmu wartości. Dziś nikt przy zdrowych zmysłach nie stworzy prawa zabraniającego na przykład całować się na ulicy, ale nikt nie zalegalizuje też kradzieży.

Myszę, że szkoda czasu na polemiki z różnego rodzaju „postępowcami”, zwłaszcza chyba w naszym społeczeństwie, gdzie po 35-letnim trudzie wdrażania postępu okazało się któregoś dnia, że postęp to coś właśnie przeciwnego. A to, że pojęcie to ma niewiele wspólnego z chronologią, można łatwo wykazać na podstawie prawa spartańskiego, wobec którego zdecydowanie jesteśmy wsteczni, jeśli chodzi o kategorie ludzi, których wolno zabijać. Przypomnieć może jedynie tu warto, że ojcem postępu, który wyraził się w Polsce w ustawie o możliwości przerwania ciąży, był znany skądinąd Polakom Adolf Hitler. To wszystko a propos średniowiecza, o którym niektórzy wspominają.

Wróćmy jednak do argumentów uzasadniających zabijanie bezmiennych ludzi (jeśli oczywiście nie utknijemy wcześniej, albo sprzeciwiając się faktom, albo żonglując uczciwością). Współczesna ustawa zezwala na przerywanie ciąży w trzech przypadkach. W żadnej jednak dyskusji nie

analizuje się tych przypadków, tak jakby legalizowała ona każdy taki proceder. Dyskusja ta zatem dotyczy przede wszystkim prawa matek do decydowania o życiu swoich dzieci. Ale dyskusja taka przekracza już granice i zdrowego rozsądku, i uczciwości.

Oto zaś różne „ciekawe” argumenty, które pojawiły się ostatnio przeciw projektowi ustawy o zakazie przerywania ciąży. Proponuję czytać to tak: wolno zabijać człowieka dla dobra kobiety, dla prawa kobiety do niezależności, dla uchronienia się przed nadmiernym przyrostem naturalnym itd. (nie muszę wymieniać, bo prasa, radio, TV grzmiały tymi hasłami). Jakaś młoda kobieta stwierdziła w pr. III PR, że nie zdecydowałaby się urodzić trzeciego dziecka, bo mieszka z mężem i dwójką dzieci w kawalerce. Można więc zabić także z powodu zbyt ciasnego mieszkania. Te argumenty (bzw. społeczne) są najbardziej wymowne. Oto mamy kobiety nieświadome odpowiedzialności powołania nowego życia, bo pozbawione zwykłej, ludzkiej (powtarzam z uporem te przymiotniki) odpowiedzialności za swe czyny, pozbawione świadomości moralnej. Bez troski, bezceremonialność w traktowaniu podstawowych wartości, ignorancja i zdeprawowanie — odłóżmy jednak uogólnienia...

Wszystkie te społeczno-demograficzne argumenty w każdym razie dają się opisać jednym prawem: łatwiej zabić niż budować domy i przedszkola. Prawdą jest, że to nieszczerze dla dziecka mieć matkę, która nie ma wystarczająco odpowiedzialności, by narodzić powołane w końcu z jej woli życie. Zachodzi jednak pytanie, czy rzeczywiście jedynym sposobem uszczęśliwienia tego dziecka jest pozbawienie go życia?

Niekiedy jednak dziecko zostaje poczęte bez woli kobiety. Z etycznego punktu widzenia również wątpliwe jest prawo zamordowania człowieka, by „umniejszyć” krzywdę innego człowieka. Zasadniczą sprawą jest tu wszakże zapewnienie takim kobietom odpowiedniej opieki (prawnej i wszelkiej innej) i ewentualnego prawa zrzeczenia się praw rodzicielskich.

Pojawia się oczywiście argument: po co nam mnożyć sieroty czy kaleki? Na swój sposób jest on uczciwy, bo stawia sprawę jasno, ale łatwo wykazać, że to argument wyjęty jakby ze spartańskiej moralności.

przewija się przez stronicę prac matu-
ralnych. Każdy z nich w inny sposób
wyraża swoje uczucia: wynika to z
odmienności epoki, mody, dominują-
cych ideałów i kierunków.

„Roznaga w siłę i potężniejszą reli-
gia chrześcijańska, niosąca kult bez-
pliciowych niemalże świętych i wzorcz
ascetycznego życia, wyciszała zmysły
i starała się odwrócić oczy wiernych
na życie wieczne. Ale rycerz średnio-
wieczny czci swoją damę, pojedynkuje

Wydaje się, że jedynym sensownym
przypadkiem rozważania możliwości
zabójstwa nienarodzonego dziecka - jest
zagrożenie życia matki. Co o tym by
się powiedziało, jest to wybór pomi-
ędzy jednym, a drugim życiem. Ucz-
ciwe jest tu chyba pozostawienie pra-
wa decyzji temu, kto włada owym
drugim życiem czyli matce. Rozważa-
nia tego przypadku jednak w dys-
kusjach nie słyszałem. Może jest naz-
byt marginalny, bo ponoć współczesna
medycyna nie spotyka się z takimi
sytuacjami. A może jednak to ciągle
unikanie zdrowego rozsądku i uczci-
wości...

WYSTĘPUJĄC w obronie rozsą-
dku i uczciwości, nie można
jednak pominąć sprawy warun-
ków, w jakich nowa ustawa mogłaby
zacząć funkcjonować. Sądzę nawet, że
konieczne jest stworzenie tych wa-
runków, aby nie okazało się, że cały
spór toczy się między krótkowidzami
a ślepcami lub między naiwnymi a
ignorantami. Trudno uwierzyć w to,
że nowa ustawa zlikwiduje proce-
der przerywania ciąży. Rację mają
wszyscy ci, którzy w nowej ustawie
widzą ten fakt i twierdzą, że dopro-
wadzi ona także do zagrożenia zdro-
wia kobiet, które podejmą takie ry-
zyko. Nie może być to jednak argu-
ment przeciw samej ustawie. Dydak-
tyczna funkcja prawa jest przecież
funkcją wtórną. Demoralizacja w żaden
sposób nie zaradzi się poprzez ustawo-
we ograniczenia. W związku z tym,
aby osiągnąć cel, jaki nowy projekt
przewiduje, tzn. zlikwidowanie za-
bójstw ludzi nienarodzonych, potrzeba
co najmniej dwu ustaw lub określo-
nych postanowień dodatkowych.

Pierwsza sprawa dotyczy koniecz-
ności podjęcia decyzji natury wycho-
wawczej. Zacząć trzeba od radykal-
nych zmian systemu nauczania i wy-
chowywania w Polsce. Trudno, co
prawda, wychowywać w czasach, gdy
podstawowe wartości straciły swe
znaczenie. Trudno uczyć odpowie-
dzialności w szkole, jeśli początkowy
krajną listą, a nauczyciele podrabiają
maturalne świadectwa. Trudno pewnie
mówić o moralności, gdy podstawową
przyczyną frustracji społeczeństwa jest
przyczyna materialna. I trudno pew-
nie się dziwić brakowi odpowiedzial-
ności za życie seksualne, gdy raczy
się nastolatki filmami typu „Wimający
seks”, lub zastanawiać się nad przes-
tępczością nieletnich, gdy serwuje się
nastolatkom filmy typu „Cobra”. Wy-
chowywanie jest funkcją wielu istot-
nych elementów całego życia społeczne-

go, ale rozpocząć trzeba tam, gdzie się
dojrzewa, gdzie się odpowiedzialności i
wartości człowieka uczy — w szkole. A
polska szkoła jeszcze do dziś woli
przedstawiać jako główną wartość
internacjonalizm, a nie uczciwość czy
odpowiedzialność za własne czyny.

Batalia o nową ustawę ukazuje, że
mamy społeczeństwo zdemoralizowane
i oglupione. Kryzys wartości nie
zaczął się dziś. I nie zmieni niczego
sama ustawa o zakazie przerywania
ciąży. Tym bardziej jeśli rodzić się
będą niechciane dzieci, których także
przecież nikt nie będzie chciał wycho-
wywać. Musi zatem powstać system,
który będzie uświadamiał młodzieży
odpowiedzialność moralną za swe czyny,
także za życie seksualne; taki,
który zwróci wreszcie uwagę na wy-
chowanie seksualne, na kwestię doj-
rzałości i odpowiedzialności za swe uc-
zucia, ale sensownie i świadomie,
nie w powierzchowny i beztrojski
sposób, zaprezentowany w wycofanym
podręczniku wychowania do życia w
rodzynie.

Druga sprawa to kwestia, którą
określić można jako materialne za-
pewnienie warunków istnienia nowej
ustawy. Musi ona obejmować — z jed-
nej strony — wszelkie koszty związa-
ne z poradnictwem seksualnym i „uś-
wiadomianiem” ciągle niedoinformo-
wanej młodzieży oraz zapewnieniem
szerokiego dostępu do bezpiecznych
środków antykoncepcyjnych; z drugiej
zaś przeznaczenie odpowiednich sum
na budowę przedszkoli, domów sa-
molnej matki, specjalnych ośrodków
medycznych, edukacyjnych dla dzieci
opóźdzonych itp.

Z całą pewnością włączyłby się do
tej akcji Kościół katolicki, który
wielokrotnie dawał dowody przywią-
zania do sprawy wychowania mło-
dzieży i w ogóle wszelkich akcji ma-
jących na celu pomoc potrzebującym.
Jeśli stworzono by warunki współpra-
cy. Moralność bowiem jest systemem
ponadpolitycznym i ponadwyznio-
wym; powołany do jej obrony jest
każdy, kto ma dobrą wolę służenia
społeczeństwu. Także organizacje
„wyższej użyteczności”.

Jeśli zależy nam zaś na uzdrowieniu
naszego społeczeństwa, na wydzwignię-
ciu go z kryzysu wartości, należy po-
dejmować nowe decyzje. Nawet, gdy
gramkim głosem sprzeciwiają się te-
mu głosiciele ignorancji i demoralizacji.
Zaczynać odbudowywać trzeba zaś od
rzeczy podstawowych, od wartości pod-
stawowych i zarazem nie od końca —
od przyczyn i skutków jednocześnie.

ale także „Pieśń nad pieśniami” („Jak
piękne są Twoje kroki w sandałach,
córko księżca! Wypukłości Twoich
bioder są jak naszyjnik, dzieło rąk
mistrza”). Dyrka miłosna to nie tylko
Mickiewicz, Słowacki, Asnyk. Młodzi
„odkrywają” jądy na nowo zapomnia-
ne już przez starsze pokolenie strofy
Kazimierza Przerwy-Tetmajera: te
subtelnie nacechowane erotyzmem
 („Mów do mnie jeszcze”) i te bardziej
dotykające seksu („Lubię, kiedy kobie-

witalizmu. Jagna jest przecież ogólnym
obiektem pożądania wszystkich chło-
pów i każdy chętnie poszedłby z nią
za bróg, byle tylko nikt się o tym nie
dowiedział!”

Dziewczęta są bardziej docieklawe:
„To pełna, zmysłowa, odkryta aż do
nagości żądza posiadania upatrzonego
obiekta. Nie ma tu psychicznej głębi
i dlatego romans ów szybko się koń-
czy. Ich spotkania prędko zamieniają
się w pospieszne „obiapiania”. Nie

miot pożądania wszystkich — od pro-
stych szewców do prokuratora Scurwy,
który skracając się z żądy, skamle u
jej nóg. Jakkolwiek obrazy takie są
groteskowe i mocno przesadzone, to
jednak wnoszą do literatury nowe
spojrzenie na stosunki damsko-mę-
skie”.

Pozostaje jeszcze odpowiedzieć na
pytanie, który z bohaterów literackich
jest najbliższy marzeniom współczesnej
dziewczyny?

Obok Andrzeja Kmicica, Bogumila
Niechciaca najczęściej pojawia się Sta-
nislav Wokulski. (Antywzorem ko-
chanki staje się Izabella Łęcka). „Dla
mnie — pisze Magdalena Charzyńska
— ideałem mężczyzny jest Wokulski,
gdyż tylko on potrafi zupełnie bezin-
teresownie kochać. To dla niej (Izabel-
li) gra na wysięgach konnych, uczy się
języków, bywa w »towarzystwie«, po-
jedynkuje się z Krzeszowskim. Dla
niej odcina się od dawnych znajo-
mych, zmienia przyzwyczajenia. Dla
niej wreszcie zdradza samego siebie.
Natomiast jej na jego miłości zależało
tak, jak kobiecie zależy na nowej suk-
ni czy broszce. Trudno było więc,
by nigdy duszy jej nie poznał. Nawet
wtedy, gdy zorientowała się, że ją o-
motał. [...] Potrafiła nawet w obawie
przed utratą adoratora zagrać rolę
romantycznej kochanki. Tylko »zagrać«
— niestety — w rzeczywistości »pro-
stytuowała« się moralnie”.

Trudno odmówić tej młodzieży
znacznego stopnia dojrzałości psychicz-
nej; zawilosci ludzkiego serca, działa-
nie instynktów, sprzeczność intere-
sów, jaka często zachodzi między ko-
chankami, są dla młodzieży zrozumia-
le i czytelne. Kultury literackiej, kul-
tury mówienia o miłości mogłyby nau-
czyć się od cytowanych powyżej ma-
turzystów niejedną z dorosłych.

W tym artykule wykorzystano frag-
menty prac abiturientów klasy IV „e”

Dokończenie na str. 11

TY JESTEŚ JAK ZDROWIE!

ta”). Fascynuje i niepokoi Leśmian,
„który tworzył swoje wizje kochanków
jakby ze polonych z przyrodą, upojony-
nych jej bogactwem”. „Jakże piękny
i poetycki jest wiersz »W malinowym
chruśniaku« — historia rodzącego się
uczucia na tle przyrody, jakie stano-
wiał krzak malin z jego życiem wew-
nętrznym. Bardzo piękny i tklivy o-
braz wyzwała w czytelniku sympatię i
sprowadza uśmiech na twarz. W
»Dziewczynie« zaś poszukiwania tej
miłości, tęsknota ku niej miała na
wzór romantyczny sięgać aż za grób,
a jednocześnie wieczne było rozczaro-
wanie”.

Cała plejada zakochanych bohaterów:
średniowiecznych rycerzy, romantycz-
nych kochanków, porzuconych, tę-
skniących i palających dziką żądzą,

się dla jej łaskawego uśmiechu, dla
delikatnego skinięcia białej rączki. O-
fiarowuje jej swoją zrećność, swoje
rycerskie umiejętności”. Jakże odmienny
jest dramat Gustawa z III części
„Dziadów” — „uczucie dręczy jego du-
szę nawet po samobójczej śmierci.
Targany nigdy niekończącą się namięt-
nością, miotany sprzecznymi uczuciami
miłości i żalu, nazywa swoją kochankę
»aniołem«, aby później w parok-
syzmie bólu zakrzyknąć: »wyrodku
niewasty!»”.

A w jaki sposób młodzi czytelnicy
odbierają naturalistyczne opisy scen
erotycznych, miłość kochanków nace-
chowaną czystym biologizmem?

Przedstawiciel płci męskiej pisze —
„Reymont w »Chłopach« na przykla-
dzie Jagny ukazuje siłę pożądania i

przychodzi Antek do Jagny jak do po-
krewnej duszy, ale jak do pokrewnego
ciała”.

Są i tacy, którzy sięgają do litera-
tury obcej, np. do głośnej powieści E-
mila Zoli „Nana” — „Jego opisy parys-
kiej prostytutki, jej zachowania i mi-
łości mogą doprowadzić czytelnika do
młodości. Jeszcze nikt tak brutalnie nie
ukazał seksu, pożądania oraz jego na-
stępstw”.

Nie brak w tych rozważaniach także
wprowadzonej niedawno do nowego
programu dramaturgii Witkacego: „W
»Szewcach« Witkacy kreuje postać ro-
syjskiej arystokratki — księżnej Iriny
Zbereżnickiej — istoty tak seksualnej,
że nie sposób jej nie pożądać. Stanowi
ona ze swoją lubieżną zmysłowością,
ze swoją zmysłową kokieterią przed-

JAK POLAK Z HOLENDREM...

Rozmowa z Andrzejem Rogalą prezesem Polsko-Niderlandzkiego Stowarzyszenia Kulturalnego

— Czy Holendrzy lubią Polskę?

— Tak, naturalnie. Co roku wydaje się ponad 35 tysięcy wiz do Polski. Biorąc pod uwagę, że Holandia jest małym krajem, taka liczba zasługuje na uwagę.

— Dlaczego Holendrzy lubią Polskę? Podobno ze względu na dziewczyny i tani alkohol?

— Jest to duże uproszczenie. Powody są znacznie bardziej złożone; historyczne, powiedziałbym. Holandia i Polska nigdy nie miały ze sobą konfliktów, nie prowadziły wojen, nie konkurowały ze sobą. Historia zna natomiast fakty znajdowania w Polsce schronienia przez uchodźców, religijnych z Holandii. Najnowsze wydarzenia ostatniego półwiecza, a zwłaszcza udział Polaków w wyzwoleniu Holandii, dostarczyły kolejnych pozytywnych doświadczeń wzajemnych. Wielu polskich żołnierzy (głównie dywizji gen. Maczka) osiedliło się w Holandii. Mieszka tu już ich wnuki. Zaadaptowali się do tutejszej rzeczywistości, znakomicie, osiągnęli znaczącą pozycję społeczną. To są te zasadnicze elementy budujące „image” Polski i Polaków w Holandii. Jeżeli idzie o dziewczyny, to istotnie Polki cenione są tu za swoją urodę, temperament. Sprawdzają się zwykle jako żony i matki. Jeżeli zaś chodzi o polską wódkę, to jej renowa jest wysoka nie tylko w Holandii...

— Jak liczna jest Polonia holenderska?

— To zależy, co nazwiemy Polonią. Na stałe mieszka w Holandii ponad cztery tysiące Polaków posiadających paszporty konsularne i około dwóch tysięcy Polaków, którzy uzyskali w ostatnich latach obywatelstwo holenderskie. Można więc mówić o populacji sześciotysięcznej, co do której nie ma cienia wątpliwości, iż są Polakami w sensie kulturowym, językowym, mentalnościowym. Są kombatanci II wojny i ich potomkowie, a także potomkowie wcześniejszych ruchów migracyjnych. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że biorąc pod uwagę pochodzenie w pierwszym, drugim i trzecim pokoleniu, można by się doliczyć 35—40 tysięcy osób genealogicznie związanych z Polską. W porównaniu z takim krajem jak RFN, gdzie przebywa ponad milion ludzi polskiego pochodzenia, w Holandii jest to zjawisko marginalne.

— Zapewne także mniej z Polakami problemów niż w RFN, Austrii czy Szwecji...

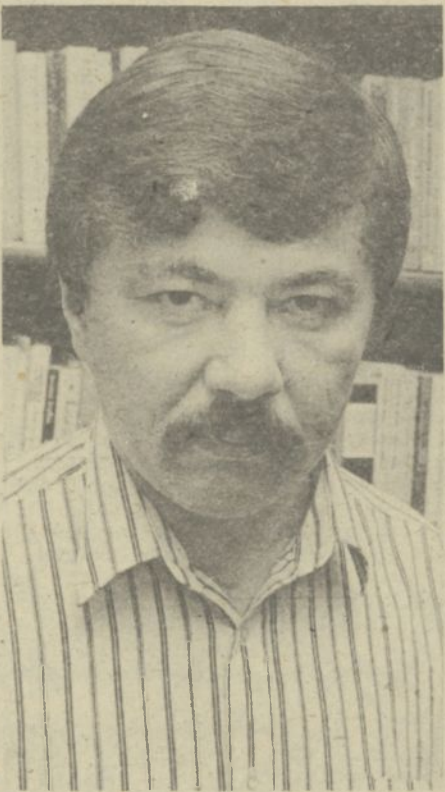
— Bez porównania. Wiem o tym, bo jestem w Utrechcie tłumaczem sądowym. Jeżeli tłumaczę w roku dwie sprawy, to — wszystko. Holandia nie jest krajem sprzyjającym przestępczości i patologii społecznej. Między innymi dlatego, że nie ma tu tylu obcokrajowców, a utrwalone są dość rygorystyczne struktury protestanckiego społeczeństwa mieszczańskiego.

— Jak radzą sobie w Holandii przedstawiciele najmłodszej fali emigracyjnej?

— Najkrótsza odpowiedź brzmi: dobrze. W latach osiemdziesiątych przybywali tu ludzie z cenzusem, wykształceni, znający język angielski (będący faktycznie drugim językiem Holendrów). To ułatwiało adaptację. Znam wielu Polaków, którym autentycznie się powiodło. Pozakładali własne firmy, dobrze prosperują. Chcę tu przy okazji powiedzieć, że podczas stanu wojennego w Polsce, Holandia zrobiła wiele dla ułatwienia startu życiowego Polakom, legalizując ich status pobytowy, pomagając w znalezieniu pracy. Zdobyla się także na spektakularny gest, zezwalając na przyjazd z obozów w Austrii stu rodzinom, których nie chcieli inne kraje ze względu na ich wiek, wykształcenie czy niepełną sprawność i inwalidztwo.

— Pora pomówić o waszym stowarzyszeniu. Od kiedy działa? Kim są jego członkowie?

— Polsko-Niderlandzkie Stowarzyszenie Kulturalne zostało założone w 1990 roku. Nie jest ono organizacją polonijną, nie jest organizacją polityczną. Jego członkami mogą zostać wszyscy obywatele Holandii, którzy odczuwają zainteresowanie kulturą polską czy Polską w ogóle oraz chcą działać na rzecz zbliżenia pomiędzy naszymi krajami. Obecnie Stowarzyszenie liczy 1300 członków na terenie całej Holandii. W 65 procentach są to rodowici Holendrzy, choć jest prawdą, że zdecydowana większość z nich ma żony Polki. Około jedna trzecia to Polacy, przy przewadze płci pięknej. Zapewne interesujące może się okazać, kim są członkowie nie związani rodzinnie z Polską. Otóż są to sławiści i



Fot. Andrzej Polakowski

poloniści holenderscy, pracownicy naukowcy, dziennikarze. W naszym zarządzie jest, na przykład, docent uniwersytetu, politolog, specjalista historii najnowszej państw bloku wschodniego.

— Jakie są formy waszej działalności?

— Za najważniejsze uważamy przybliżenie Holendrom języka polskiego. Z tego powodu co roku organizujemy kursy językowe w wielu miastach, w bieżącym roku w 22 miejscowościach dla około 300 kursantów. Zajęcia są prowadzone przez fachowców, zwykle Holendrów — polonistów lub Polaków z przygotowaniem pedagogicznym, którzy opanowali język holenderski. W Eindhoven prowadzimy także szkołę dla dzieci polskich. Zajęcia odbywają się w niej raz na dwa tygodnie, w sobotę, a dzieci dowożone są często z bardzo dużych, jak na Holandię, odległości; nawet 250 kilometrów. Co można powiedzieć o efektach dydaktycznych? Mogłyby być lepsze. Przeciwnie około 30 procent Holendrów nie kończy kursów i rezygnuje, bo polski okazuje się za trudny. To jest nasze podstawowe zmartwienie, ale mamy przecież świadomość, że oddziaływać na motywację ludzi dorosłych jest trudno i wszystko zależy przede wszystkim od ich uporu i wytrwałości.

Drugą, poważną sferą działalności jest informowanie o Polsce. Służy temu wydawany przez nas biuletyn informacyjny w języku holenderskim i polskim. Prócz aktualności krajowych zawiera on także informacje z życia

Polaków w Holandii, reklamy oraz artykuły o historii i teraźniejszości związków polsko-holenderskich. Z czasem zamierzamy przekształcić biuletyn w czasopismo ilustrowane i w tym celu zakupiliśmy już nawet wyposażenie składu komputerowego.

Ważną formą jest także wymiana studentów, jaką organizujemy dla Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Wrocławskiego, a z której korzysta rocznie około dziesięciu osób. Są to przede wszystkim studenci anglistyki, którzy przyjeżdżają na uczelnie holenderskie. W zamian do Polski jadą Holendrzy lub pobyt Polaków traktujemy jako formę stypendium, gdy nie udaje się zapewnić parytetu wymiany. Być może z czasem zajmiemy się także organizowaniem pobytów stypendialnych dla pracowników naukowych, artystów.

Cóż jeszcze? Organizujemy wystawy poświęcone Polsce, wycieczki do Polski, pośredniczymy w załatwianiu formalności wizowych. W sumie jest co robić i na nudę nie ma czasu.

— Wspominał pan, że poważną bazą członkowską są małżeństwa polsko-holenderskie. Czy jest ich dużo i czy te związki — zważywszy poważne jednak różnice językowe i kulturowe — są trwałe?

— Dużo problemów naraz! Od 1975 roku zawarto w Holandii ponad 2500 związków małżeńskich polsko-holenderskich. W 92 procentach były to śluby Polek z Holendrami, a tylko w ośmiu Polaków z Holendkami. Istotnie Polki uchodzą w Holandii za partnerki bardzo atrakcyjne i jeżeliby zapytać dziesięciu Holendrów o to, z jakiego obcego kraju chcieliby mieć żonę, to 7—8 odpowie natychmiast, że z Polski. Działają nawet specjalne biura matrymonialne zajmujące się zbieraniem ofert Polek. Jest ich chyba obecnie cztery. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że jest to podstawowa forma poznawania Polek przez Holendrów. Zwykle dochodzi do tego podczas przyjazdów do Polski.

Jaka jest trwałość tych małżeństw? Niestety, mniejsza niż małżeństw holenderskich. Po okresie afektu przychodzi proza życia z kłopotami językowymi, koniecznością dostosowania się do innego stylu życia (nie tak wystawnego i towarzyskiego jak w Polsce), do oszczędzania, do pewnej flegmatyczności i nieokazywania uczuć. Pół biedy, gdy małżonek-Holender stara się nauczyć polskiego. Kiedy jednak trwa przy swoim, a żona przy swoim języku, o konflikty nietrudno. A gdy jeszcze rodzą się dzieci i powstają różnice, po jakimś do nich mówić...

Zwykle mniej trwałe są małżeństwa zawierane za pośrednictwem biur matrymonialnych. No bo kto się do nich zgłasza po oferty? Przeważnie ludzie mający ze sobą kłopoty, nie poukładani, skonfliktowani, neurotyczni. Gdy to się jeszcze nakłada na wymienione problemy, to nietrudno przewidywać finał. Co jednak charakterystyczne: po rozwodzie Polki niemal w stu procentach pozostają w Holandii i nie powracają do Polski.

— I to także dziwne?

— Nie mówię, że dziwne, mówię, że jest to pewna reguła. Przy obecnych trudnościach życia w Polsce materialnie zrozumiała.

— Czy staracie się jakoś integrować małżeństwa polsko-holenderskie? Organizować ich spotkania? Uostępnić nawzajem adresy?

— Tak. Choć przyznaję, że pomysł ten jest nie nasz, a konsula generalnego PRL w Hadze, dr. Zbigniewa Tomkowskiego. W maju ubiegłego roku po raz pierwszy zorganizowaliśmy dzień małżeństw polsko-holenderskich w Bredzie. Frekwencja przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Wynajęta sa-

la okazała się za mała, bo przybyło ponad 600 osób. Dopisali członkowie rządu z sekretarzem stanu do spraw obcokrajowców panią Victorią Kortel-Van Hemel, co było niemałym ewenementem. Pani minister przybyła tylko na pół godziny. Potem przedłużyła pobyt o godzinę, potem o kolejną, a wreszcie kazała sekretarzowi podwoływać wszystkie spotkania i bawiła się z nami do końca, czyli do trzeciej rano. Obok wielu atrakcji imprezy dużą sensacją wywołało tysiąc paczków od Bliźniego, zamówionych przez konsula Tomkowskiego i dostarczonych samolotem w dniu balu. Pani minister stała się naszym sojusznikiem i przy różnych okazjach demonstruje swoją sympatię do Polaków. Smiem twierdzić, że impreza ta przyniosła więcej niż jakaś nudna konferencja. Sponsorowały ją firmy holenderskie m. in. ze znaną „Douwe Egberts” eksporтером kawy, kakao i herbaty do Pewexu. Oczywiście zamierzamy powtarzać dni małżeństw w przyszłości.

— Holandia, mimo iż duiym krajem nie jest, znana jest z akcji charytatywnych, adresowanych do potrzebujących w różnych stronach świata. Sam kilkakrotnie o tym pisałem. Czy wasze Stowarzyszenie takie i tym się zajmuje?

— Pośrednio. Na ten temat znacznie więcej mogłaby powiedzieć moja mama Jadwiga Borowska-Rogala. Oprócz Stowarzyszenia działa ona także w organizacji Woerden & Maarssen Helpt Polen, która bardzo aktywnie pomaga Polsce. Jest to głównie aparatura medyczna dla szpitali, lekarstwa, odżywki dla dzieci. Organizacja opiekuje się na stałe kilkoma domami dziecka i domami starości, a także zajmuje się organizowaniem bezpośredniej pomocy przez rodziny holenderskie potrzebującym jej rodzinom polskim. W miarę możliwości z pomocy W&MHP korzystają także Akademe Medyczne w Warszawie i Białymstoku. Wartość tej działalności idzie w miliony guldów.

— Czytelników zwykle interesują personalia. Czy mógłby pan powiedzieć, czym zajmuje się członkowie zarządu waszego Stowarzyszenia? Czy znają polski? Co ich łączy z naszym krajem?

— Zarząd liczy siedem osób. Polakiem jestem tylko ja. Z tych siedmiu osób polskiego nie znają jedynie dwie. Czterech ma żony Polki. Przekrój zawodowy jest różny. Na przykład sekretarz zarządu Jos Vriesema jest z zawodu teologiem katolikiem. Mamy w składzie docenta politologii, nauczyciela fizyki, prawnika, pracowników państwowych, reńcistę. Wszyscy członkowie zarządu już byli w Polsce i naturalnie bardzo im się ona podoba.

— A prezes?

— Mieszkam w Holandii od dwudziestu lat, od wyjazdu z Polski wraz z rodziną. Mam studia informatyczne i pracuję w centrum obliczeniowym takiego holenderskiego ZUS. Firma nasza ma obroty 30 miliardów guldów rocznie, a więc jest prawdziwym gigantem ubezpieczeniowym. Czas wolny dzielę pomiędzy Stowarzyszenie, literaturę i język obce. Może to nieco nieskoronne, ale próbowałem lansować w Holandii Marka Hłaske, tłumacząc jego opowiadania.

Cóż jeszcze? Po kilku latach małżeństwa rozwiodłem się. Notabene ożeniony byłem z dziewczyną z Lublina, do którego mnie ciągnie. Tym razem jednak z powodu Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego i jego dyrektora docenta Władysława Kucharskiego. Jest to oczywiście sympatia czysto zawodowa. PCKO zajmuje się badaniami najnowszej Polonii w Holandii, a my staramy się w tym pomagać. Wyniki są na tyle obiecujące, że myśliśmy nawet o zorganizowaniu wspólnego seminarium. Dyskutowaliśmy także o powołaniu w Polsce Stowarzyszenia Polska-Holandia.

— Rozumiem, że tym samym odpowiedział pan na nie zadane pytanie o pobyt w Lublinie, które jednak paść miało.

— Jestem gadułą. Przepraszam.

— A ja dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

UZNANIE i światowy rozgłos zapewniły Solżenicynowi jego twórczość prozatorską i przenikliwą eseistyką. Ale są także w jego dorobku dramaty: interesujące w planie treści i intrygujące przez swoje losy. Należy do nich, napisany w 1951 roku w obozie ekibastaskim, „Pir pobieditelej” („Uczta zwycięzców”). Słowo „napisany” należy tu jednak rozumieć inaczej, niż podpowiada potoczne doświadczenie: Solżenicyn pisał tylko niektóre partie dramatu, po czym uczył się ich na pamięć, a rękopisy palił; inne fragmenty układał tylko w głowie i w głowie przechowywał. W 1953 roku, podczas zesłania Solżenicyna w Kok-Terek, utwor ten przeleżał zakopany w ziemi. Potem był przechowywany „w konspiracji” do 1965 roku, kiedy to wpadł w ręce KGB, a następnie wydrukowany został do użytku wewnętrznego przez KC KPZR. Było to pierwsze wydanie dramatu w języku rosyjskim kolportowane wśród nomenklatury w celu udowodnienia winy Solżenicynowi (zob. A. Solżenicyn: „Sobranije soczinienij. Piesy i kinoscenarii”, Vermont — Paryż 1981). Póź-

nie wiosną 1955 roku, po opuszczeniu przez Solżenicyna oddziału chorych na raka w klinice w Taszkencie, ale zaczął ją pisać znacznie później. W 1964 roku autor pojechał do Taszkentu, do szpitala onkologicznego, aby spotkać się z lekarzami i uściślić niektóre okoliczności medyczne. Zakończona na wiosnę 1966 roku pierwsza część „Oddziału chorych na raka” została odrzucona przez „Nowyj mir”. Taki sam los spotkał również część drugą, którą Solżenicyn napisał w 1966 roku. W tymże roku, jesienią, Sekcja Prozy Moskiewskiego Oddziału Związku Pisarzy zajęła się oceną pierwszej części tego utworu, a w rok później „Nowyj mir” przyjął utwór do druku. Przyjął i nic więcej. W latach 1967—1968 pojedynczo rozdziały opowieści drukowane były w Słowacji, we Włoszech, w Anglii. W 1968 roku wyszły dwa pełne wydania „Oddziału chorych na raka”. Pierwsze we Frankfurcie nad Menem, drugie w Paryżu (YMCA-Press). Ostateczne wydanie, autoryzowane przez Solżenicyna, ukazało się w 1970 roku (A. Solżenicyn: „Rakowyj korpus. Powiest”. Sobranije soczinienij”, Vermont — Paryż).

jętny wobec ojczyzny, ten myśli tylko o swojej korzyści. Kto nie chce dla ojczyzny głośności — ten nie chce oczyścić jej z chorób, a wgnoczyć je do wnętrza, aby gnóły tam” (A. Solżenicyn, „Bodalsja...”, s. 541).

13 sierpnia 1971 roku Solżenicyn skierował jedno ze swych otwartych pism do szefa KGB, późniejszego sekretarza generalnego KC KPZR, Jurija Andropowa i skargę na niego do premiera Aleksieja Kosygina. Z kolei w związku ze śmiercią bliskiego mu Aleksandra Twardowskiego, w grudniu 1971 roku (na omeniarz wpuszczono Solżenicyna na wyraźne żądanie żony Twardowskiego) Aleksander Isajewicz powiedział: „Jest wiele sposobów, by zabić poetę. Dla Twardowskiego przyjęto: odebrać jego dzieło — jego pasję — jego czasopiśmi”. Ograniczony w swych poczynaniach Twardowski i jego zespół formalnie sami podali się do dymu.”

NIEWIELE osób odważyło się stać w obronie Solżenicyna, bądź wyciągnąć do niego pomocną dłoń. Ci nieliczni, którzy okazali so-

bec twórców i u nas), „obcy” i wrogim całemu życiu narodu”, że „wpadł w bagiemną jamę”, że jego powieści to paszkwile. Na instrukcjach zaś tzw. frontu ideologicznego, jak za pociąganiem sznurka, zgodnie mówiono: „On zresztą nie jest żadnym Solżenicynem, lecz Solżenicerem...”. Kiedyś zarzucano mu antysemityzm, teraz zgola coś innego. Atak skierowano i na tych, z którymi się przyjaźnił, u których mieszkał. Dostało się za niego m.in. wiodonoczelisze Mściławowi Rostropowiczowi i Natalii Swietłowej.

Od czerwca 1971 roku Solżenicyn był przygotowany na wszystko. Do dra F. Heeba (adwokata pisarza ze Szwajcarii) wysłał testament, w którym zdecydował, że w wypadku śmierci znikniecia bez śladu na dwa tygodnie z oczu społeczeństwa rosyjskiego, więzienia, „psychuszki”, obozu czy zsyłki — testamentu będzie opublikowany w kilku gazetach świata. Solżenicyn tworzył Fundusz Społecznego Wykorzystania). Równocześnie trwały poszukiwania jego dzieł. Funkcjonariusze KGB, podając się za przyjaciół Solżenicyna, nawiedzają jego 82-letnią ciotkę w miejscowości Rozdiestwo, zabierają zapiski i opowiadania pisarza rzekomo dla niemieckiego „Stern”. Znajomy autora o nazwisku Gorielow zastaje in flagranti pracowników ministerstwa spraw wewnętrznych, rekwirujących archiwum pisarza w domku, w tejże miejscowości (zob. List otwarty do szefa KGB Andropowa i premiera Kosygina z 13 VIII 1971 roku). Rostropowicz, z powodu Solżenicyna, utracił dyrygenturę w Teatrze Wielkim i możliwości wyjazdów. Falszywi gangsterzy żądają od pisarza stu tysięcy dolarów i wyjazdu z ZSRR. W Leningradzie powiesiła się ponad sześćdziesięcioletnia Jelizawieła Denisowna Woronianska, dręczona myślą, że ujawniła — przesłuchiwana pięć dni przez KGB — gdzie jest zakopany w ziemi „Archipelag Gulag”. Równie dręcząca była dla niej przed śmiercią obawa o los ponad 200 zeków, którzy przekazywali Solżenicynowi dane — zeznania zesłańców stalinowskich łagrow i katowni. Ta współpracowniczka pisarza powiesiła się w swoim mieszkaniu przy portrecie Solżenicyna. Na jej ciele znalaziono jednak ślady klucza nożem, które każą wersję o zamachu samobójczym poddać w wątpliwość.

OPOZYCJA w ZSRR przeżywa wówczas wyjątkowo trudne czasy. Władze zdecydowały się na proces pokazowy Jakira - Krasina, zaręczony w stylu Stalina — Wyszyńskiego. Rozpętana przez prasę burza skierowana jest przede wszystkim na Andrieja Sacharowa i Solżenicyna. Dochodzi do wystąpienia dysydentów Turczina i Safarewicza.

Solżenicyn, poza wielu innymi — ma także bardzo poważne kłopoty meldunkowe. Usunięto go z mieszkania Rostropowicza, nie pozwolono też zamieszkać z drugą żoną, Natalią Swietłową i z dziećmi (z N. Rieszetowską rozwiódł się 15 III 1973 roku). 21 sierpnia 1973 roku napisał do ministra spraw wewnętrznych N. A. Szczolokowa (tego, który w wiele lat — później popełnił samobójstwo w związku z udziałem w małżeństwach zięcia Leonida Breżniewa, Jurija Czurbanowa), w którym wyraził swoje oburzenie z powodu istnienia jeszcze „prawa pańszczyźnianego” (meldunkowego), mimo że nie ma go jakoby od 112 lat i że Rewolucja Październikowa zniszczyła jego ostatki.

Pisarz, który był indywidualistą i raczej unikał podpisywania zbiorowych oświadczeń do władz (nie chciał tego uczynić w związku ze sprawą Bukowskiego i Grigorienki), aktywnie jednak współpracował z Sacharowem oraz z W. Czaldize i jego Komitetem Obrony Praw Człowieka (Komitet Zaszczytów Praw Człowieka).

UTWOREM Solżenicyna nie do „przełknięcia” przez ówczesne najwyższe władze radzieckie był niewątpliwie „Archipelag Gulag 1918—1956. Opyt chudożestwiennogo

SOLŻENICYN

Jan Trochmiak

niej utwór ten został zrekonstruowany przez autora.

„Uczta zwycięzców” oraz „Plenniki” („Jeńcy”) i „Republika truda” złożyły się na trylogię zatytułowaną „1945 god” (nb. w sztuce „Plenniki” wyzskane są wrażenia pisarza z kontrwywiadu SMERSZ w polskim mieście Brodnica). Zamyślony i napisany w 1960 roku utwór „Swiet, kotoryj w tiebie” („Swieczka na wietrze”) jest próbą opowiedzenia o wadaach współczesnego cywilizowanego świata. Nie mógł go wydrukować „Nowyj mir”, a później nie dopuszczono tej sztuki do realizacji teatralnej. Trafila do „Satnizdatu” i na Zachód (druk: „Grani”, 1969, nr 71). Wystawiały ją teatry różnych krajów, była też ekranizowana przez telewizję francuską. Utwór „Znajut istinu tanki” („Znajd prawdę czołgi”), napisany w Riazaniu w 1959 r., to scenariusz zwięzłe odzwierciedlający przebieg zamieszek w łagrach; najpierw w Ekibastuzie z 1951 na 1952 rok, a następnie w Kengire w czerwcu 1954.

Wspomniany we wcześniejszych odcinkach „Krag pierwszy” jest powieścią wielowątkową, ale jej akcja trwa tylko trzy dni: od godziny pięć po czwartej 1949 roku do końca przerwy obiadowej w Marfińskim Więzieniu Specjalnym, w dniu 27 grudnia tegoż roku.

„Krag pierwszy”, rozpoczęty w 1955 roku w Kok-Terek, miał aż siedem redakcji (zob. A. Solżenicyn: „Sobranije...”, Vermont — Paryż). Pierwsza była zakończona w 1957 roku w Mikewie (obszód wladimirowski), druga i trzecia w Riazaniu w 1958 roku. Wszystkie one zostały ze względów konspiracyjnych zniszczone. Czwartą wersję — z 1962 roku — uważał autor za ostateczną, ale w rok później, po wydaniu „Jednego dnia Iwana Denisowicza”, zrodziła się nadzieja na wydanie „Kragu pierwszego” przez Twardowskiego w „Nowym mire”. Trzeba więc było utwór „rozmiękczyć politycznie”, usunąć niektóre rozdziały, wprowadzić ogólnoradziecki temat tamtych lat: „zdrada” lekarza przekazującego lekarstwo na Zachód. Ale i w tej piątej już wersji próba publikacji dzieła zakończyła się fiaskiem. Latem 1964 roku Solżenicyn rozpoczął przygotowywanie szóstej wersji — pogłębionej i „zaostrzonej” w szczegółach. Blona fotograficzna z tym wariantem wysłana została na Zachód. Po rosyjsku powieść ukazała się w amerykańskim wydawnictwie Harper and Row. Była to już szósta redakcja utworu i z niej dokonano wszystkich zagranicznych przekładów. Jeszcze jedną redakcję (siódmą) stanowi pełny i ostateczny tekst powieści (96 rozdziałów). Tekst ten nigdy „nie chodził” w „Samizdacie” i nie był drukowany jako samodzielna książka. Pomysł na inną, głośniejszą powieść („Oddział chorych na raka”) zrodził

WKOŃCU czerwca 1966 roku Solżenicyn skierował list do Leonida Breżniewa, w którym uskarżał się na traktowanie jego twórczości. Początkowo zarzuty kierował pod adresem partii, ale poradził mu, aby krytykę wymierzył w literatów. Tak też uczynił. Odpowiedzi nie było żadnej, ale Solżenicyn zyskał trochę „oddechu” i mógł dokończyć „Archipelag Gulag”.

Solżenicyn próbował też upubliczniać swoją twórczość w dość oryginalny sposób; mianowicie w różnych instytucjach usiłował czytać niektóre rozdziały swoich utworów. Na przykład w Instytucie im. Kurczatowa czytał fragmenty „Oddziału chorych na raka”, „Kragu pierwszego”, „Swiatla, kotore jest w tobie”. Reakcja ministra KGB Siemczastnego, sprawadziła się do zwrócenia uwagi na fakt, że Solżenicyn czytał je na scenie. Inne spotkania z pisarzem, zaproszenia z różnych instytucji i zakładów były blokowane przez Moskiewski Komitet KPZR. Wszystkie sposoby były dozwolone. W Instytucie im. Karpowa na przykład, dokąd Solżenicyna przywieziono, wisiało ogłoszenie o odwołaniu spotkania „z powodu choroby autora”. Gdyby nie to ogłoszenie, uczestnicy wieczoru musieliby złożyć legitymacje partyjne.

Coraz bardziej popadał w niełaske zaangażowany po stronie Solżenicyna, Aleksander Twardowski. Nie wybrano go już ani do KC KPZR, ani do Rady Najwyższej ZSRR. Piotr Demiczew, odpowiedzialny wówczas za sprawy kultury, skomentował to tak: „Naród go odrzucił, odrzucił”.

Wielokrotnie zwracał się Solżenicyn do dyspozycyjnego Związku Pisarzy Radzieckich i przypominał w swych memoriałach pisarzy prześladowanych i fizycznie likwidowanych w okresie radzieckim; opisywał też, jakie szczytary spotykają jego samego.

4 listopada 1969 roku sekcja riazkańska pisarzy radzieckich usunęła Solżenicyna ze Związku Pisarzy Radzieckich. Związek Pisarzy RFSRR zatwierdził tę decyzję, nie dając Solżenicynowi szans na odwołanie. Wyrzucono go, oczywiście, zaoznie, Aleksander Isajewicz w „Pisnie otwarim do Sekretariatu Związku Pisarzy RFSRR” (z 12 listopada 1969 roku) napiętnował łamanie Statutu i przypominał usuwanie ze Związku Anny Achmatowej i Borysa Pasternaka. Przypominał znakomite list Lidii Czukowskiej oraz wziął w obronę Lwa Kopelewa. Zakończył to „Pismo” słowami, którym wiele lat później zaczął posługiwać się rzecznicy „głośności i pieriestrojki”. W pewnym sensie Solżenicyn ich wyprzedził: „Głośność, uocziwa i peka głośność” — oto pierwszy warunek zdrowia każdego społeczeństwa i naszego także. I kto nie chce dla naszego kraju głośności — ten jest obo-

lidarności bądź spieszyli mu z pomocą, to Korniej Czukowski, Lidia Czukowska, Mściław Rostropowicz, Andriej Sacharow, Zores Miedwiediew (genetyk, publicysta; był przez pewien czas zamknięty w tzw. psychuszce). Zdecydowanie wrogo odnosiła się natomiast do Solżenicyna cała „wierchuszka” pisarzy radzieckich, a wśród nich Konstantin Fiedin. Szczyt cynizmu zaprezentował w tamtych latach laureat Nagrody Nobla, nadgorliwy w swej uległości politycznej, Michaił Szolochow. Na posiedzeniu Zarządu Związku Pisarzy RFSRR próbował zdyskredytować prześladowanego pisarza. („On żąda niedopuszczania mnie do pióra! Nie do drukarni, do pióra!” — z zalem konstatauje w swym dziele wspomnianym Aleksander Solżenicyn, zaznaczając, że jest to analogia do sytuacji, w jakiej znalazł się kiedyś Taras Szawczenko).

W związku z ewentualną Nagrodą Nobla dla Solżenicyna zabiegi szły z dwu kierunków. Z jednej strony — Francois Mauriac, laureat Nagrody Nobla z roku 1952, walczył o jej przyznanie, a z drugiej — specjalna komisja pisarzy radzieckich z Konstantinem Simonowem na czele próbowała zablokować możliwość jej przyznania. Komisja spóźniła się jednak, a Szwedzka Akademia Nauk przyspieszyła decyzję o dwa tygodnie.

Gdy już Solżenicyn wiedział o przyznaniu mu Nagrody Nobla w 1970 roku, napisał grzeczne i pojedyncze treści pismo do Michaiła Susłowa, członka Biura Politycznego KPZR i głównego ideologa. Prosił w tym piśmie o niewiele: o wydrukowanie „Oddziału chorych na raka” i „Sierpnia 1914” („Awgust czteremadcatogo”), twierdząc, że są to rzeczy bardzo niewinne. Prosił w nim również, by nie wyrzucano z instytucji tych studentów, którzy czytają jego książki, a także o uchylenie zakazu udostępniania jego opowiadań wydanych oficjalnie w ZSRR. Autor skierował też w tym czasie pismo do Szwedzkiej Królewskiej Akademii Nauk i Funduszu Nobla, w którym proponował, by akt wręczenia mu Nagrody Nobla dokonano się w Moskwie. Szwedzi nie chcieli narażać się na wrogość ZSRR (obawiali się też — podobno — demonstracji maoistów) i chcieli wręczyć nagrodę „po cichu”, bez przydawania temu wydarzeniu rozgłosu. Kursowały pisma od urzędników szwedzkich do Solżenicyna i odwrotnie. Rząd szwedzki i parlament pozostały na swych stanowiskach. Nie zgodzono się nawet na wręczenie nagrody w ambasadzie szwedzkiej w Moskwie, lecz w domu prywatnym. Pisarz zaproponował, aby uroczystość odbyła się w domu przyszłej żony, Natalii Swietłowej.

Atmosfera wokół Solżenicyna zagęszczała się. „Prawda” atakowała go za to, że jest „wewnętrznym emigrantem” (ten szablon był stosowany woc-

GENERAL MIECZYŚLAW M. SMORAWIŃSKI

Dokończenie ze str. 1

Inne spotkanie, na obozie Przysposobienia Wojskowego w roku 1938, wspomina Marian Rejniewicz, znany dziś adwokat, w kampanii wrześniowej plut. pchor. 2 pułku strzelców konnych z Hrubieszowa. „General przyjechał z krótką wizytą do Wólki Profeckiej pod Puławami, gdzie szkoliliśmy się. Warta sprezentowała broń, oficerowie zameldowali się. General oglądał teren obozu, interesował się szkoleniem. Zrobił na nas doskonałe wrażenie — przystojny, elegancki, sprężysty, korespondował rzeczowicie z naszymi wyobrażeniami o ludziach z generalskimi szlifami. Zwróciliśmy uwagę na pewien szczegół — na jego szablę. Była to szabla rosyjska, zapewne zdobycana, noszona inaczej od polskich — ostrzem do góry, kablukiem do tyłu”.

Kazimierz Błoński stykał się z generałem Smorawińskim dość często — w latach trzydziestych. Jako uczeń Gimnazjum im. Stefana Batoiego w Lublinie mieszkał wraz z siostrą na stacji u pułkownika Rolińskich przy ul. Weteranów 8. Po sąsiedztwie, w domu przy Weteranów 10 było mieszkanie płk. Czaplńskiego, gdzie Mieczysław Smorawiński często zaglądał. „Był człowiekiem o ujmującej powierchowności — wspomina p. Błoński. — Bardzo uprzejmy, średniego wzrostu, poważny w objęciu. Trafiałem później do Szkoły Podchorążych Rezerwy Antyleni w Włodzimierzu Wołyńskim i tam w czasie inspekcji generała, miałem okazję zamienić z nim kilka słów.

Gen. Smorawiński ściągnął do Lublina mojego kuzyna kpt. Stanisława Lisa-Błońskiego. Krótko przed wybuchem wojny udał się do Warszawy z zamiarem pozyskania oficera na stanowisko wojskowego komendanta miasta na wypadek wojny. W Sztabie Głównym polecono mu właśnie mojego stryja, który wkrótce zjechał do Lublina”.

Chmury jakie zaczęły się gromadzić nad Polską po aneksji Czech i Moraw w marcu 1939 r. spowodowały gorączkowe przyspieszenie przygotowań planów wojennych. W zamierzeniach Sztabu Głównego teren lubelskiego DOK miał być zapleczem zaopatrzeniowo-mobilizacyjnym dla Armii Odwodowej „Prusy” i związków operacyjnych działających od północy: Armii „Modlin”, Grupy Odwodowej „Wyszków” i SGO „Narew”. Tu miała się formować 36 Rezerwowa Dywizja Piechoty i przede wszystkim mobilizować jednostki etatowe. Część z nich, jak 2 psk z Hrubieszowa czy 24 p ul z Kraśnika odeszły na zachód już wiosną 1939 roku w wyniku częściowej mobilizacji. Latem 1939 roku dowódca lubelskiego DOK nie skorzystał z urlopu, zwykle zresztą tylko parodniowego. Rodzina generała wyjechała do Świdnika, na lotnisko przy Szkole Podchorążych Lotnictwa.

„Lato było upalne — wspomina syn generała, pan Jerzy Smorawiński — ojciec był zajęty przez cały czas. Przyjeżdżał rzadko i na krótko. Pamiętam, krótko przed wybuchem wojny, przyjechał samochodem, za nim luzak z dwójką koni. Wyjechaliśmy konno, konie szły rozpalone, niosły... Pytałem ojca po drodze, czy będzie wojna. Twierdził, że raczej tak, ale wierzył, że się obronimy. Przypominał ciężkie chwile z naszej historii i to, że jednak się Polska odrodziła mimo tylu klęsk. Podjechaliśmy pod wielką lipę, brzęczało od pszczoł, koniska się spłoszyły, poniosły, skończyła się rozmowa.

Wróciliśmy wieczorem. Czekał już lazik, ojciec wsiadł, zawarczał silnik, odjechał. Kilka dni później wybuchła wojna...”

Dwadzieścia pięć lat po przywzianiu mundur legionisty, dla gen. Mieczysława Smorawińskiego rozpoczęła się jego trzecia wojna. Ostatnia...

URODZIŁ się 25 grudnia 1893 roku w Kaliszu, jako drugie z kolei dziecko i pierworodny syn Jana Smorawińskiego i Marii z Zagrodzkich. Ojciec, rzemieślnik, prowadził w Kaliszu zakład garbarski, który wkrótce po przyjeździe na świat Mieczysława sprzedał i przeniósł się

do Turku. Tam urodzili się następne dzieci. Było ich w sumie ośmioro: pięć córek i trzech synów. Dzieci wyrastały w tradycji patriotycznej, w atmosferze świeżych jeszcze wspomnień Powstania Styczniowego. Uczestniczył w nim ojciec pani Marii, Makary Mizalski. Po klęsce powstania znalazł się on wraz z rannym towarzyszem, niejakim Zagrodzkim na terenie Prus. Zagrodzki zmarł z ran i Makary Mizalski przekroczył granicę Królestwa z jego dokumentami i nazwiskiem. Do swajego wrócić już nie mógł. Wnuk, późniejszy general, po nim właśnie otrzymał drugie imię. Młodszy brat Mieczysława — Stanisław, był później członkiem POW, uczestniczył w wojnie polsko-radzieckiej, z której — trzykrotnie ranny — powrócił jako kaleka. Najmłodszy brat Idzi, również POW-iak i harcerz poszedł, mając 17 lat, na wojnę 1920 roku i zaginął bez śladu. Z siostr — dwie były nauczycielkami, jedna pielęgniarką, a dwie pozostały przy mężach.

Mieczysław ukończył szkołę powszechną w Turku i podjął naukę w Kaliskiej Szkole Handlowej. Trudna sytuacja materialna rodziny sprawiała, że stałe pomagał ojcu w warsztacie. W 1908 roku zetknął się z organizacjami niepodległościowymi szkół kaliskich, pozostającymi pod wpływem Narodowej Demokracji. Walka tej organizacji o szeroką autonomię polskiej szkoły doprowadziła do bojkotu uczniowskiego w roku 1911. Mieczysław Smorawiński został wraz z grupą kolegów aresztowany i po sześciomiesięcznym pobycie w kaliskim więzieniu, zesłany do Jekaterynosławia (obecnie Dniepropietrowsk). W listopadzie 1911 roku udało mu się jednak uzyskać zezwolenie władz carskich na wyjazd do Lwowa. Po przybyciu do Galicji i przerobieniu wymaganego programu, uzyskał jako ekstern świadectwo maturalne w c.k. Drugiej Szkole Realnej we Lwowie 30 września 1912 roku. Zapisał się następnie na Wydział Chemii Technicznej Politechniki Lwowskiej (według indeksu: „dzień immatrykulacji” — 11 października 1912). Do wybuchu wojny zdążył Smo-

strzegając szansę odzyskania niepodległości. Wybuch wojny zaktywizował stronnictwa zorientowane na współpracę z Austro-Węgrami, powołanie w oparciu o nie własnej siły zbrojnej. Własne szanse dostrzegł w nowej sytuacji współtwórcą koncepcji legionowej — Józef Piłsudski.

W lipcu 1914 roku Mieczysław Smorawiński przebywał na wakacjach w Turku. Tam dochodzi go wiadomość o mającym nastąpić wymarszu strzelców do Królestwa i rozkaz mobilizacyjny. Decyduje się na natychmiastowy wyjazd do Krakowa, nocą przez okno opuszcza upiorny dom zostawiając na stole pożegnalny list do rodziców. Przyjeżdża pod Wawel, przekraczając „zieloną granicę”, już po opuszczeniu Krakowa przez pierwsze kompanie strzeleckie.

W tej sytuacji wstąpił Smorawiński do organizującej się właśnie II Brygady Legionów Polskich, nad którą dowództwo obejmuje płk Józef Haller. Wraz z brygadą odbywa jako dowódca plutonu, ćwiczenia w podkrakowskich Krzeszowicach, a następnie (30 września 1914) razem z 2 pułkiem piechoty wyjeżdża transportem kolejowym na Węgry. Z pułkiem tym odbywa Smorawiński wszystkie legionowe kampanie dowodząc kolejno plutonem, kompanią i batalionem w stopniu chorążego (X 1914), następnie podporucznika (I 1915), porucznika (VI 1915) i kapitana (VII 1916).

Pułk otrzymuje zadanie oczyszczenia komitatu Marmarosz-Sziget z zagonów 2 dywizji kosańskiej, następnie przez Przełęcz Pantyryską schodzi w dolinę Bystrzycy w Galicji, zdobywając m.in. Rafajłową, Zieloną, Pasieczną i Nadworną. Na szczycie Przełęczy Pantyryskiej (droga na przełęcz była zwana odtąd „Drogą Legionów”), granicy między Węgrami, a Galicją, legionieści ustawili biały krzyż z czterowierszem swego towarzysza broni, Adama Szani:

„Młodzieży polska, patrz na ten krzyż! Legiony polskie dźwignęły go wwyż, Przechodząc góry, lasy i waly Do Ciebie Polsko i dla Twej chwały”

dojściu do leśniczówki, patrol natknął się na chatę w lesie, zajęta przez kwatrujących w niej kozaków, którzy starali się uciec, jednak zostali do nogi wystrzelani lub wycięci bagnietami. Byli to kozacy 10 pułku 5 sotni, jak świadczy załączony, znaleziony przy kozaku dokument i fotografia. W pościgu za kozakami dwa zastępy patrolu natknęły się na okopy nieprzyjacielskie koło młyna znajdującego się na wschód od leśniczówki, prztem wywiązała się silna strzelanina, podczas której padło ze strony rosyjskiej koło 40 zabitych i rannych kozaków, reszta masowo uciekła ku swoim okopom. Z naszej strony straty następujące: 8 lekko rannych, w tej liczbie podporucznik Smorawiński”. Śmiała ta akcja przyniosła Smorawińskiemu Krzyż Walecznych i wkrótce awans na porucznika.

Mieczysław Smorawiński uchoił w pułku za jednego z mistrzów w „podchodzeniu” przeciwnika, w śmiałych wypadach i zdobywaniu informacji o nieprzyjacielu. Był nadzwyczaj odważnym oficerem. Kronikarz II Brygady, dr Bertold Menwin tak opisuje jeden z epizodów walk o Kirlibabę („Legiony w boju”, Kraków 1915): „Oto 30 legionistów batalionu Januszajtisa pod komendą ppor. Smorawińskiego u rządza nocą śmiałą zasadzkę. Podsuwają się wprost bezczelnie wrogowi pod nos, opanowują most na Bystrzycy Złotej i wpadają do miejscowości Pappalva o 4 km przed Kirlibabą, drwiąc sobie z salw rosyjskiego karabinu maszynowego...”

Wysokie mniemanie miał o swoim podwładnym pplk Marian Januszajtis, który tak uzasadniał wniosek o nadanie Krzyża Walecznych:

„Podporucznik Smorawiński od początku wojny służy bez zarzutu i stale odznacza się wielką odwagą oraz wysokimi zaletami oficerskimi. I tak między innymi: w defilee pod Krzyworównią w ciągu całego dnia jednym plutonem przeszkadzał całej brygadzie rosyjskiej przejść przez defilee; pozostając wciąż bez rowów w ogniu



Budynek Dowództwa Okręgu Korpusu w Lublinie. Stan sprzed I wojny światowej.

Fot. Archiwum

rawiński zaliczyć dwa lata studiów, których już później nie kontynuował, mimo że chemią i jej rozwojem interesował się zawsze. Równocześnie ze studiami na Politechnice przeszedł przeszkolenie w Polskich Drużynach Strzeleckich, początkowo w kompanii rekruckiej, potem podoficerskiej, wreszcie na kursie oficerskim. Szkołę Podchorążych ukończył w czerwcu 1914 roku. Był też czynnie zaangażowany w działalność zakonu spirowanej młodzieżowej organizacji niepodległościowej „Zarzewie”.

W przewidywanym na prógu 1914 roku europejskim konflikcie zbrojnym większość ugrupowań politycznych do-

PO bitwie pod Nazawizowem i Molotkowem (29 listopada 1914), wcielono 2 pułk do grupy gen. Trzaski-Durskiego i przesunięto na Huculszczyznę. Następnie, II Brygada wzięła udział w ciężkich walkach pod Okermózem i o Kirlibabę (18—22.01.1915) na Bukowinie. Pod Okermózem ppor. Smorawiński odniósł pierwszą ranę w czasie śmiałego wypadu na pozycje rosyjskie. W raporcie pplk. Mariana Januszajtisa d-cy II batalionu, dla płk. Hallera znajdujemy taki opis wydarzeń: „Dziś o godzinie 4 rano wyszedł patrol złożony z półkompanii 2-ego 2 pp Leg. pod komendą ppor. Mieczysława Smorawińskiego. [...] Po

artylerii i karabinów maszynowych, nie poniósł żadnych strat. Pod Okermózem wszedł z 10 ludźmi do środka rosyjskiego ugrupowania i podpalił wieś Rokameżo. Pod Kirlibabą w ataku spędził nieprzyjaciela z pozycji, zamykającej przejście przez most. Ostatnio przeprowadził nadzwyczaj umiejętnie akcję, przeprowadził swój oddział pod samą leśniczówkę, gdzie znajdowali się Moskale. W ostatniej chwili zaczęli oni uciekać, jednak legionieści prawie wszystkich wystrzelali lub wytkuli. Moskale poddać się nie chcieli, ponieważ przypuszczali, że zdążą się ukryć w okopach swych, oddalonych o 30—50 kroków. Żołnierze

rosyjscy znajdują się w okopach, nie strzelali, prawdopodobnie obawiając się trafić w swoich. Dopiero gdy tych już nie było, patrol Smorawińskiego z odległości 30—50 kroków został wzięty pod ogień i przez przeważającego przeciwnika zaatakowany. Mimo to podpułkownik Smorawiński potrafił bez znaczących strat wycofać się, osiągając tak znaczne korzyści; podczas odwrotu idąc na końcu, został ranny".

WKWIETNIU 1915 roku Brygada, a z nią ppor. Smorawiński, zostaje przerzucona do Besarabii. Toczy tam ciężkie walki o przełamanie silnie umocnionych pozycji rosyjskich. 10 maja 1915 roku w rejonie Dobronowic Rosjanie przełamują sąsiedni austriacki odcinek obrony i wychodzą na tyły 2 pułku. Sytuacja staje się krytyczna. Tak przedstawia ją autor monografii 2 pp Leg., późniejszy ppłk. Józef Sisko: „Partię przez większe siły nieprzyjaciela i opuszczony przez oddziały austriackie pułk został otoczony i przebijając się z bagnietem przez oddziały rosyjskie, krok za krokiem postępował w kierunku południowym nekany ustawicznym ogniem. Odwrót I i III baonów udał się szczęśliwie dzięki umiejętnemu dowodzeniu przez ppłk. Jamuszajtisa i kpt. Jerzego Trojanowskiego. Niektóre kompanie, prowadzone przez rzutkich i walecznych oficerów, por. Kazimierza Łukawskiego, por. Mieczysława Smorawińskiego i ppor. Stefana Wyspiańskiego oparły się jeździe rosyjskiej, zadając jej duże straty”.

Do historii walk w Besarabii weszły boje pod Rokitną (słynna szarża 2 szwadronu ułanów) i pod Rarańczą, gdzie biorąc do niewoli ponad 1000 jeńców II Brygada zyskała sobie miano „Żelaznej Karpackiej Brygady”. A później, jesienią była epopeja wolińska, słynna bitwa (27 października 1915) pod Kostiuchnówką i walki o tzw. Górę Polaków. Po wiosennej ofensywie gen. Brusilowa i ciężkich walkach odwrotowych, pułk, w którym służył kpt Smorawiński zostaje wycofany do Zambrowa celem dokonania uzupełnień. Sam Smorawiński wynosi z kampanii 1916 roku dwie rany i dwa kolejne krzyże walecznych. Otrzymuje również urlop, by w czasie reformowania brygady, zaleczyć rany. Wyjeżdża do Turku, do rodzinnego domu.

Przemianowane jesienią 1916 roku na Polski Korpus Posiłkowy, Legiony Polskie, zostają w międzyczasie skierowane na Ukrainę. W lipcu 1917 roku następuje pierwszy etap ich likwidacji — tzw. kryzys przysięgowy, w 1918 roku II Brygada pod dowództwem Józefa Hallera przerywa, na znak protestu przeciw ustaleniom traktatu brzeskiego i przyznaniu Ukrainie Ziemi Chełmskiej, front austriacki pod Rarańczą łącząc się (15—16 lutego) z II Korpusem Polskim, walczącym po stronie Ententy.

Mieczysław Smorawiński nie wziął udziału w przebiegu się Polskiego Korpusu Posiłkowego pod Rarańczą. Przesądził o tym przypadek, przebywał wtedy na urlopie. Z resztek dawnych Legionów utworzono pod niemieckimi auspicjami Polską Siłę Zbrojną (Polnische Wehrmacht), a dowództwo powierzono płk. Marianowi Januszajtisowi. Należy sądzić, iż właśnie do dawnego dowódcy zwrócił się o radę kpt Smorawiński i za jego namową wstąpił do nowej formacji.

Po przeszkoleniu w Ostrowi Mazowieckiej dowodził początkowo II batalionem 2 pp PSZ (od października 1918 — w stopniu majora), a następnie, już w Wojsku Polskim, II batalionem 8 pp Legionów, 8 grudnia 1918 roku wyrusza na front polsko-ukraiński, gdzie walczy w składzie grupy operacyjnej „Rawa Ruska” ppłk. Zarzyckiego i „Bug” gen. Romera. Grupa ta przebiła się do Lwowa walcząc o utrzymanie miasta. Tam właśnie mjr Smorawiński zostaje ranny 7 stycznia 1919 roku. Po miesięcznym pobycie w szpitalu wraca do Wschodniej Galicji. W walkach z Ukraińcami dowodzi 18 pp Leg., następnie 9 pp Leg. i ponownie 8 pp Leg. w składzie grupy ppłk. Kulińskiego. Z opanowaniem przez Polaków Lwowa i Wschodniej Galicji łączy się początek walk Polaków z Armią Czerwoną na Litwie i Białymostku. 14 października Smorawiński obejmuje dowództwo sławnego 4 pp Leg. — „czwartaków”. Pułk pod jego dowództwem (od czerwca 1920 w stopniu podpułkownika) trwa w uporczywych bojach nad Berezyną, które to boje przejdą do historii wojny 1920 roku.

(Koniec odcinka 1. — cdn.)

Leszek Wiśniewski

Dokończenie ze str. 7

issledowanija” („Archipelag Państwowego Zarządu Obozów. Próba przebadania artystycznego”). Chruszczow, gdy wyrażał zgodę na druk „Jednego dnia Iwana Denisowicza”, płakał i ocierał łzy w przekonaniu, że za jego czasów tak nie jest. Solżenicyn zaś stwier-

SOLŻENICYN

dził, że „Zarządy zmieniają się. Archipelag pozostaje”. Swoje monumentalne dzieło pisał w latach 1958—1967. W Posłowniu do „Archipelagu Gulag” Solżenicyn umieścił jakże złowieszco brzmiące słowa, wskazując w nich, gdzie jest fors et origo mali: „Ja kończę dzieło w podwójnie jubileuszowym roku (i jubileusz tę są ze sobą związane): 50 lat rewolucji, która stworzyła Archipelag, i 100 lat od odkrycia drutu kolczastego (1867)” (A. Solżenicyn: „Archipelag Gulag. 1918—1956. Opyt chudożestwennogo issledowanija”, Vermont — Paryż 1980). Tę powieść-dokument chciał napisać Solżenicyn z Władysławem Szalamowem, autorem „Opowiadań Kolymskich”, ale Szalamow odrzucił wysuniętą propozycję.

W oparciu o materiały źródłowe, archiwalia i prasę radziecką, wstrząsające materiały ikonograficzne, Solżenicyn swoim dziełem oskarżył cały urząd. Stosowane na Wyspach Solowiejskich metody zostały „z powodzeniem” zastosowane na Polakach. Solżenicyn pisał: „Solowiejską metodą pow-

torzoną na katyńskich trupach, ktoś przypomniał tradycję? lub swoje osobiste doświadczenie?” (A. Solżenicyn, op. cit., t. 6, s. 43). Chodzi tu o lata dwudzieste, kiedy to 30—40 tysięcy, bez sądu i prokuratora mordowało nowe transporty ludzi przewożonych z Moskwy. Mordowano więc prawdziwych arystokratów, kadrowych

wojskowych, filozofów, uczonych, artystów, malarzy, licealistów. A w lagrach byli nie tylko dorośli więźniowie, ale i dzieci zesłane za kradzież jedzenia (z głodu) na wieloletnie więzienia, a nawet sześciolatek „małolatki”. Niewolniczą pracą zeków wznoszono potężne obiekty budownictwa socjalistycznego z osławionym Kanalem Białomonskim (Bielomonkanal) na czele. Ową katorżniczą pracę opisali autorzy radzieccy wraz z Maksymem Gorkim, w niesławnej książce o tym Kanale. Ubrani w waciaki, przodownicy nieludzkiego współzawodnictwa pracy spotykali się nawet na złotych z innymi łagiernikami.

Ani wysiłki na tego typu budowach czy w innych miejscach niewolniczej pracy (Solżenicyn sporządził długą i bynajmniej niepełną listę obiektów w ZSRR, będących miejscem „socjalistycznego” katorżniczego trudu), ani odosobnienie w obozach niczego dobrego nie przyniosły, poza tragediami osobistymi i rodzinnymi. Szczególnie cierpiały kobiety. Wiele z nich frymanczyło, walcząc o lepsze życie,

swym ciałem. Inne znowu, oddzielone ścianami i drutami kolczastymi, oddawały się miłości platonicznej, „korespondencyjnej” (bardzo prześladowanej), przy czym oblubieńcy nigdy się nie widzieli. Nielicznym „zasłużonym” więźniarkom, w nagrodę, „oficjalnie” pozwalano na zbliżenia z mężczyznami. Inne oddawały się miłości lesbijskiej i wtedy, gdy z premedytacją zabierano „współmałżonka”. „druga strona” z rozpacz rzucała się na drut kolczasty lub ginęła od strzałów wartowników.

Strasne upodlenie istoty ludzkiej nie sprowadza się wyłącznie do tej sfery życia ludzkiego. Dowiadujemy się o tym ze wszystkich stron tego wielotomowego, wielkopomnego, i jakże wstrząsającego dzieła. Solżenicyn czyni w „Archipelagu Gulag” także wyrzuty niektórym działaczom komunistycznym innych państw, a mianowicie Janosowi Kadarowi i Władysławowi Gomułce (...). „Oni przeszli i niesprawiedliwy areszt i śledztwo z torturami, i po ileś tam lat odsiedzieli. Cały świat widzi, czy wiele się nauczyli” (A. Solżenicyn: „Archipelag Gulag. 1918—1956. Opyt chudożestwennogo issledowanija”. Vermont — Paryż 1980, t. 6 s. 325).

Ukazanie się „Archipelagu” za granicą zwiększyło jeszcze terror stowarzyszonego wobec pisarza i jego rodziny. Otrzymuje on nowe encykliki: „W śmiertelnym spokoju! Wkrótce!” Na wykładach dla wielkich urzędników mówiono: „Solżenicynowi my nie damy chodzić długie (podkr. A. Solżenicyn, „Bodalsja...”, s. 406).

(Koniec odcinka 3. —
dokończenie nastąpi)

Jan Trochimiak

LISTY-POLEMIKI

„ZŁY ZNAK”

Po przeczytaniu opowiadania Jerzego Krzyżanowskiego „Zły znak” („Relacje” nr 17) chciałam dorzucić swoje trzy grosze.

Zajęcie jest niewyraźne, ale ja w tej postaci na koźle rozpoznaję raczej Wiesława Olszewskiego, a nie Andrzeja Chamca. Bryczkę znam. Jechałam nią wraz z matką do Prawiednik, gdzie w domu państwa Majeranowskich ukrywał się ranny „Adam”. Adam Dąbrowski był pacjentem mojej matki, dr. Kazimierz Litwiniukowej, a ja, jako sanitariuszka, pomagałam jej przy opatrunkach. Adam miał na wylot przestrzelone mięśnie lewego uda, a prawe draśnięte. Kości nieuszkodzone.

U państwa Majeranowskich ukrywała się w tym samym czasie, po wysypie na Zmigrodzie, Krystyna Czarniawska. Trzy młodzieńcze dziewczyny, łączniczki, znalazły się w lokalu skrytce kontaktowej, której szefowała Nula Chamcówna, siostra Andrzeja. Krysta, Halzka Kauferówna, i Basia Klimczak pozbyły się dyskretnie obciążających materiałów i to je uratowało. Nula, zbita, zmaltretowana, wylądowała „Pod Zegarem”, gdzie czekały ją dalsze tortury. Przeniesienie na Zamek było dla niej ulgą. Towarzyszyła pani Chamcówny w przekazywaniu paczek dla Nuli do więzienia na Zamku. W ostateczności została zwolniona za bardzo duży okup. Wszystkie uczestniczki tego zdarzenia żyją.

Wracając do Adama. Adam po wywleczeniu miał zgłosić się na punkt kontaktowy w Warszawie. Podróż odbył pod eskortą moją, matki i Wiesława Olszewskiego. Wiesiek przywiózł Adama do drewnianego domu przy ulicy Wyspiańskiego 5, który był dla mojej rodziny ostoją wojenną po ucieczce z Katowic, a dla ruchu konspiracyjnego punktem kontaktowym, przystanią, azylem.

Adam przyjechał bryczką (tą z fotografią) zaprzęzoną w dwa piękne konie. Konie miały wypalone na zadach: „SS”, a pochodziły z majątku Jabłonna, będącego pod zarządem gestapo. Adam z moją matką udali się na dworzec bryczką. Powoził młody sąsiad, Władek Korczak. Ja z Wieskiem goniliśmy ich na piechotę. Gdy zbliżyliśmy się do tunelu, zobaczyliśmy naszą bryczkę ciągniętą przez rozpędzone konie, poganiane batem przez nie-

znanego chłopaka. Zaniepokojeni przyspieszyliśmy kroku. Na dworcu czekała matka z Adamem i Władkiem. Okazuje się, że przypadkowo natknęli się na parobka z Jabłonnej. Chłopak poznał konie, zaczął się awanturować i szarpać z Władkiem. Władek z wielkim żalem (na rozkaz matki) oddał trefny zaprzęg.

W pociągu w jednym przedziale jechała matka z Adamem, a w drugim ja z Wiesławem. Udawaliśmy zupełnie obcych. Obaj chłopcy mieli lewe dokumenty, ale z kontroli wyszli obronną ręką.

Adam zamieszkał u rodziny Wieśka na Pradze, a ja u przyjaciół rodziców na Żoliborzu. Celem mego pobytu w Warszawie było szkolenie na kursie sanitarnym, organizowanym przez AK, z praktyką w Szpitalu Ujazdowskim. Matka wróciła do Lublina po przedstawieniu mnie organizatorom kursu. Kurs ukończyłam 15 lipca 44 r. Do tego czasu kilkakrotnie odwiedzałam Adama. Powróciłam do Lublina jednym z ostatnich pociągów przed nadejściem frontu.

Krystyna Płatakis-Rysak
Lublin

„LUBELSKA »BIAŁA PLAMA«”

W numerze 14 „Relacji”, w dziale „Listy — Polemiki” ukazało się sprostowanie rzecznika prasowego szefa WUSW w Lublinie, kpt. mgr Anny Dubel, kwestionujące moją wypowiedź, stwierdzającą brak odpowiedzi na moje pismo skierowane do WUSW w Lublinie, zawierające próbę o możliwość udostępnienia dokumentów archiwalnych, dotyczących funkcjonowania więzienia na Zamku lubelskim w latach 1944—1954.

Chcę wyjaśnić, że w czasie rozmowy z redaktorem Zbigniewem Miazgą faktycznie nie posiadałem jeszcze żadnej odpowiedzi. Otrzymałem ją w piśmie z WUSW z dnia 23 stycznia 1989 roku. Stąd wynikłe nieścisłości. Informacje, jakie uzyskałem w odpowiedzi, pozwoliły mi skierować swą prośbę do właściwego adresata, tj. Centralnego Zarządu Zakładów Karnych w Warszawie, za co dziękuję.

W drugiej części chciałbym nie tyle polemizować, co podzielić się kilkoma uwagami z autorem listu zamieszczonym w tym samym dziale tegoż numeru.

Autor listu kwestionuje prawdziwość relacjonującego swoje przeżycia

z lat 1946—1947, b. żołnierza AK ps. „Jurek”.

Otóż co do działalności oddziału mjr. „Zapory” po 1944 roku, jak również podczas okupacji na Lubelszczyźnie, mam swoje prywatne zdanie, jak również ma prawo mieć je i Autor.

Dalej (cytuując fragment listu): „Nieprawdą jest również, że sadzano akowca na rozpaloną do czerwoności blachę gotym stykiem”. Gdzie w UB było szukać takich blach i specjalnych do tego kuchni czy pieców. Co za bzdury”. Koniec cytatu. Czyżby w owym okresie było wszędzie już zainstalowane ogrzewanie centralne bądź gazowe? Przemilcza Autor jednak inne sposoby tortur, jakim poddawani byli przestępcy podczas śledztwa. Czyżby były mniej bolesne, niegodne uwagi?

„Jurek” nie określił siebie „bohaterem”, natomiast dla niego, jak dla wielu innych mu podobnych, b. żołnierzy AK, walczących z okupantem niemieckim, poczynania ówczesnych władz i aparatu UB w okresie pookupacyjnym były szokiem.

Nawet pomimo ujawniania się nie ominęły ich aresztowania, sadytacyjne śledztwa, wyroki śmierci bądź wieloletnie więzienia, szykanowanie po odbyciu kary.

Dowodem są coraz liczniejsze wspomnienia tych ludzi, umieszczane na łamach naszej prasy, co z uwagi na niewielki materiał archiwalny (dostępny) sprawia, że ich relacje silną rzeczą — oczywiście po przeprowadzonych pracach selekcyjnych — stają się źródłem historycznym do poznania tego tematu.

Zdzisław Kowalski
Lublin

„NICZYJE DUSZE Z POGRANICZA”

Powodem dla tego tekstu stał się opublikowany kilka tygodni temu artykuł Mirosława Haponiuka „Niczyje dusze z pogranicza” („Relacje” nr 13). W artykule tym, chyba w ogóle po raz pierwszy w lubelskiej prasie, a na pewno w tak otwarty i szeroki sposób (przynajmniej za mojej pamięci), poruszono zagadnienia dotyczące, ogólnie mówiąc, mieszkańców Lublina rodem z Podlasia.

Jest to zapewne kilkusetletnia (jak mi się wydaje) grupa przeżycia —
Dokończenie na str. 10—11

SLADEM „STU Z LUBLINA”

RADIOSTACJA KOMENDY OKRĘGU AK NA DZIESIĄTEJ

(DOKOŃCZENIE)

Mirosław Derecki

JERZY Litwiniuk siedział najpierw w piwnicy domu w centrum miasta, w którym mieszkał przedtem jego znajomi, państwo Zawidzy. Później przeniesiono go do innej piwnicy, pod domem przy ul. Solnej. Cały czas obmyślał, co ma mówić na czekających go przesłuchaniach. Zastanawiał się także (i do dzisiaj się nadal zastanawia), czy Rosjanie „namierzili” radiostację na swoich radiopelengatorach, czy też wiedzieli o niej od samego początku i tylko czekali na odpowiedni moment, aby wyciągnąć fakt jej istnienia jako „argument” przeciwko władzom AK działającym „podstępnie”. A może to sam generał Turndajski oświadczył, że ma na terenie Lublina radiostację, przy pomocy której kontaktuje się z Londynem, pytając o instrukcje co do prowadzenia rozmów?

Po kilku dniach tkwienia w piwnicy, z której doprowadzono go do gmachu przy ul. Szopena 18, gdzie rezydowało NKWD i gdzie przesłuchiwał go oficer w polskim mundurze — znalazł się Litwiniuk w sporej grupie ludzi ze związanymi rękami, których ładowano na ciężarówkę szelnie kryte plankami.

Przed gmachem NKWD przy Szopena do ciężarówki, na której znajdował się już Jerzy, dosadzono... jego matkę i siostrę. Kazimiera Litwiniukowa i Hania zajęły miejsca na samym końcu skrzyni, ręce miały wolne. Hania (dziś jest dr Krystyna Platacis) usłyszała w pewnym momencie, jak matka, rozejrzawszy się po wnętrzu ciężarówki, powiedziała: „Większość lubelskiej Delegatury Rządu tutaj siedzi z nami”. Musiało to być po 8 sierpnia 1944 r., bo jak wynika z listy „Stu z Lublina”, członkowie wojewódzkiej Delegatury Rządu w Lublinie — Władysław Cholewa, Marian Chaciewicz, Otmar Pożniak, Jan Chmielewski, Józef Dolina, Saturnin Osiniński, Tadeusz Marboiewicz, Józef Pcsadyn, Stanisław Płiszczynski, Kazimierz Stalewski, Stefan Wendorff, Wacław Zarek — byli „internowani” pomiędzy 2 a 9 sierpnia. Ktoś z wymienionych tutaj członków Delegatury zostali rozróżnieni przez Kazimierę Litwiniukową, nie wiadomo. Co do Jerzego Litwiniuka to swoich współtowarzyszy spod budy ciężarówki po prostu nie znał.

Jechali ku północy, przez Lubartów. W sumie — kilka ciężarówek. Po kilku godzinach przybyli do położonej na uboczu wsi. Jak się później miało okazać, była to wieś Krasówka we Włodawskim.

Spora przestrzeń poza wsią

otoczona była płotem z drutu kolczastego. Jakaś szopa, jakaś stodoła. I dziwne ziemne kopce. Jakby ziemianki bez okienek. Jakby wiejskie piwnice lub kopce na kartofle, a na każdym z tych „kopców” — drewniana, czworokątna kłapa zakrywająca wejście w dół. Były to sławetne „dółki”, a całość — dwadzieścia kilka takich „dółków”. Każdy na dziesięciu ludzi — to była „Polowaja tiumna”. Areszt polowy.

Dr Platakis przypomina sobie, że najpierw kobiety (ona z matką były jedynymi kobietami w transporcie) umieszczono w stodole, a część mężczyzn w szopie. Zobaczyła kiedyś kłopoty szopy Jerzego i stąd domyśliła się, że on tam przebywał. Jerzy tego nie pamięta. Uważa, że od razu zapakowano go do „dółki”.

„Dółki” nie miały żadnego szalunku na ścianach. Jedynie dach był z desek, na które nasypało warstwę ziemi. Okien nie było. Aby wpuścić do wnętrza trochę światła (co dla wentylacji), podnoszono kłapę wjazdu i wstawiano w otwór prostokątną ramę drewnianą z naciągniętą na nią „kratą” z drutu kolczastego. Na podłodze była warstwa słomy. Na niej się leżało, siedziało i spało. Wyposażenia „dółki” dopełniała nisza w jednej ze ścian, ze stojącą w niej prymitywną „kopciłką”, rodzajem kaganka.

Dr Platakis, która później, już po przeniesieniu aresztowanych do innej wsi, siedziała także, wraz z matką, w „dółku”, mówi, że były również „dółki” mniejsze. Taki jak ten, do którego one zostały wtrącone: o kubaturze 2 X 2 X 2 m.

Kiedy Jerzy Litwiniuk znalazł się na dnie „dółki” (wiodła tam z góry kłódka, drewniana drabinka), zbachczył na słomie trzech wyhodowanych ludzi. Byli to żołnierze z rozformowanego pułku ukraińskiego, co do którego władze wojskowe powzięły podejrzenia, że może nie być destatecznie lojalny i posłuszny dowódtwu.

Po jakimś czasie do „dółki” spuszczono innego Ukraińca. Ten z kłódki, po dostaniu się kiedyś do nie-

mieckiej niewoli, zgodził się na kolaborację; wszedł w skład oddziału wartowniczego, który strzegł niemieckiego więzienia w Radzynie. Nazywał się Dejenka i miał dziewiętnaście lat. Nie uciekł wraz z Niemcami przed zbliżającą się armią niemiecką. Zgłosił się do władz wojskowych i... trafił natychmiast do „dółki”. Dejenka miał nadzieję, że uda mu się, zamiast kuli w łeb, trafić do „sztrafnej rotacji” — karnej kompanii.

Siedzieli też przez pewien czas wraz z Jerzym dwaj „gracze w domino”. Starszek i młody chłopak. Zostali kiedyś nakryci przez Niemców, bo poszedł na nich donos, że należą do tajnej, patriotycznej organizacji, choć zbierali się tylko po to, żeby pograć w domino. Niemcy szybko połapali się w omyłce. Wypuścili ich, ale kazali podpisać zobowiązanie, że będą walczyć z komunistami. Potem ktoś doniósł na nich do NKWD...

Był jeszcze w „dółku” członek UPA. Przez wszystkich zresztą solidarnie bojkotowany...

Jerzy Litwiniuk sądzi, że w „dółkach” w Krasówce siedziało łącznie około dwustu pięćdziesięciu ludzi.

Mniej więcej po dwóch tygodniach Litwiniukowie przeniesieni zostali do innej „polowej tiumny”. Podobnej jak dwie krople wody do tej w Krasówce, tyle że mieszczącej się w Worsach w powiecie radzyńskim. Tu odbywały się regularne przesłuchania. Po pewnym czasie tych, którzy już byli na „doprosach”, przenoszono z „dółków” do wiejskich chałup. W jednej z chałup siedzieli wspólnie — Jerzy Litwiniuk, Wiesiek Olszewski, Bolek „Juhasa” oraz Zachariasz Tomaszewski (to był ten kolega Wieśka, który wpadł do „kotła” na ul. Wyspiańskiego, kiedy przyszedł pożyczyc battle-dress).

W chałupie odkrył Jerzy przypadkiem schowek, a w nim starą ikonę, trochę carskich rubli i kozik. Ten kozik bardzo mu się potem przydał w Charkowie i w Diagiiwie pod Riazaniem...

W Worsach było sporo członków lubelskiej wojewódzkiej Delegatury Rządu. Był tam m.in. Kazimierz Wojno, który został wkrótce zwolniony na interwencję swojego zięcia, członka Krajowej Rady Narodowej.

Jerzy — został. Przecież to w jego domu „nakryto” radiostację Komendy Okręgu AK. Był mocno podejrzany.

Tymczasem

dr Kazimierę Litwiniukową wywieziono z Worsów. Ostatecznie — jak się później okazało — trafiła do obozu pod Riazaniem. Tam; za rzekomy udział w organizowaniu protestacyjnej głodówki, została skazana na pięć lat lagru. W radzieckim więzieniu pod Riazaniem poznała dwie siostry marszałka Tuchaczewskiego. Siedziały — jako rodzina „zdrajcy” Tuchaczewskiego.

Hania, po kilku tygodniach uparte go twierdzenia przez nią, a także przez brata i matkę, że nic nie wiedziała o konspiracyjnej robocie swoich najbliższych, wypuszczono z „dółki”. Wróciła do Lublina. Odnalazła babcię oraz siostrę Basię, którą opiekowały się Urszulanki z klasztoru przy ul. Narutowicza. Do domu na Wyspiańskiego nie miała po co wracać. Teraz mieścił się tam punkt sanitarny „berlingowców”, a wszystkie rzeczy osobiste i meble zostały dawno rozgrabione.

W 1945 r., po zdaniu w Lublinie matury, Hania zapisała się na medycynę na UMCS. Studiowała na drugim — w historii Wydziału Lekarskiego UMCS — roczniku.

Gdzieś na przelomie

września i października 1944 r. z Worsów wyruszyło, pod siedmioosobową eskortą, pięciu aresztantów: Litwiniuk, Stalewski, Saturnin Osiniński oraz dwaj radiotelegrafici z ul. Wyspiańskiego: Kudela i Potasiński.

Jechali ciężarówką przez Dorohusk do Kowla. W Kowlu załadowano ich do pociągu pełnego „urlopników”, jadącego do Kijowa. Siedzieli między urlopowanymi żołnierzami radzieckimi. W sąsiednim przedziale przez cały czas podróży do Kijowa „bojce” grał na gitarze i śpiewał niecenzuralne, „blotnyje” piosenki żołnierskie. Jerzy Litwiniuk mówi, że chyba właśnie wtedy zachłysnął się po raz pierwszy gętkim, śpiewnym, pełnym wyrazu językiem rosyjskim.

Może to dlatego od lat tłumaczy Majakowskiego i Kuprina, Michalkowa, Niemcowa, Jesienina, Wozniesińskiego, Okudżawę, Jewtuszenkę i tytuły tylu innych?

Z Kijowa — pociągiem do Charkowa. A tam, w Charkowie, było „Sanatorium pod pepeszą”. Pietrowy budynek, dawny pensjonat, przy Przecz-

LISTY - POLEMIKI

Dokończenie ze str. 9

dentów lubelskich wyższych uczelni, a także ich absolwentów, którzy z różnych względów zdecydowali się pozostać w Lublinie. Jest to realnie istniejąca społeczność, powiązana więziami o różnym natężeniu — od osób utrzymujących kontakty towarzyskie niemal wyłącznie ze „swoimi”, do tych, którzy unikają takich styczności i starają się utopić w większości. Jedynym wyznacznikiem tej grupy stanowi właśnie pochodzenie z Podlasia, no i oczywiście prawosławie.

Jest symptomatyczne, że istnienie tej społeczności (jeśli używać terminologii socjologicznej, to najwłaściwszym będzie chyba określenie „kategoria społeczna”) uświadamiali i uświadamiają sobie właściwie tylko jej członkowie oraz osoby „z zewnątrz” w jakiś sposób bliżej związane. Dla innych są to pojedyncze jednostki o dziwnym rodowodzie, gdzieś z końca świata, które nie bardzo wiadomo, gdzie umiejscowić na mapie świata (przecież sami nie wiedzą, kim są), z niezrozumiałymi problemami, kompleksami i sposobem myślenia.

Wartość artykułu M. Haponiuka polega na tym, że starożytnie właśnie

pierwszą próbę ukazania — na szerszym forum, w pełniejszym oświetleniu — tego środowiska, jego problemów i sposobu myślenia. Na wstępie warto również zwrócić uwagę na to, że chociaż autor na początku pisze: „Są z Białostacczyny. Wszyscy mieszkają poza nią — w Lublinie lub Warszawie”, to problemy poruszone w artykule dotyczą całej prawosławnej, „ruskiej” (czyli wschodniosłowiańskiej) ludności Północnego Podlasia, a nie tylko emigrantów mieszkających w głębi Polski — w Lublinie, Warszawie.

Artykuł M. Haponiuka może (i powinien) stać się znakomitą podstawą do interesującej dyskusji na temat przedstawionej w nim społeczności. Pozostawiając na później inne elementy świadomości tej grupy, chciałbym na początek spodziewanej dyskusji zatrzymać się na jednym z nich, chyba tym z istotniejszych i — co ważniejsze — stosunkowo łatwym do naukowego wyjaśnienia. Chodzi o język (gwary), którego używają mieszkańcy Północnego Podlasia. (Pod nazwą „Północne Podlasie” rozumiem część historycznego Podlasia, położoną na północ od Buga, w przybliżeniu obszar między Bugiem a Narwią).

Wiadomo, że język zawsze jest elementem, a także czynnikiem kształtującym samoświadomość grupy. Jest on przecież podstawowym przejawem in-

ności wobec „obcych”, a z drugiej strony — najistotniejszym (poza świadomością) elementem poczucia wspólnoty, więzi grupowej. W naszej części Europy język stał się także podstawowym elementem świadomości narodowej (mówi po polsku, a więc Polak; mówi po ukraińsku — Ukrainiec itd.), podstawowym czynnikiem samookreślenia narodowego.

Na Północnym Podlasiu język również odgrywa bardzo istotną rolę jako element, a jednocześnie czynnik kształtujący inne elementy świadomości (samoświadomości) zamieszkującej tam ludności wschodniosłowiańskiej. Jest on podstawowym (obok religii — prawosławia) wyróżnikiem wobec zamieszkującej go sąsiedzku ludności polskiej (i jednocześnie katolickiej). Z drugiej zaś strony stanowi także czynnik nie pozwalający na utożsamienie się z tym, co dla tej grupy proponowane jest jako kontralternatywa polskości — z białoruskością.

Wiąże się to z poczuciem obcości wobec języka białoruskiego, który w dość wyraźny sposób różni się od gwar podlaskich. Język białoruski jest dla tej grupy właściwie kolejnym (obok polskiego i rosyjskiego) językiem obcym obecnym na Północnym Podlasiu, najbliższym spośród tych trzech, ale obcym. Nawet znajomość języka

białoruskiego nie zmniejsza dystansu, a czasem wręcz przeciwnie — gdy się go zna, łatwiej (przynajmniej teoretycznie) stwierdzić jego obcość.

Wszystko to wiąże się z tym, że wschodniosłowiańską, „ruską” ludność zamieszkałą na Północnym Podlasiu uznano za Białorusinów administracyjnie, bez pytania o zdanie samych zainteresowanych, ani też bez naukowego zbadania tego zagadnienia. (Jak można się domyślać, zgodnie z bieżącymi potrzebami politycznymi). Najbardziej spektakularny wyraz znalazło to w 1939 r., gdy tereny te włączono do Białoruskiej SSR. Po 1944 r. jest to kontynuowane — rozwija się szkolnictwo białoruskie, prowadzą działalność białoruskie organizacje kulturalne, a miejscową ludność zaczęto w oficjalnych dokumentach określać Białorusinami.

Reakcja tej ludności na taki stan rzeczy była różna: z jednej strony białoruskość była jednak bardziej swojska niż polskość, z drugiej zaś — jak pisze M. Haponiuk — „nawet tam, gdzie istniała możliwość uczenia białoruskiego w szkołach, rodzice często z tej możliwości nie korzystali. Nie da się tych uczęszczać tłumaczyć konformizmem, gdyż są one wynikiem dość powszechnego odczucia, szczególnie na południu województwa

nicy Powstania Grudniowego („Biezu-
gólny Pierelok” — tak go ochrzczili
internowani), pozostający w gestii
„SMIERSZ”.

W „Sanatorium pod pepeszą” prze-
bywało 134 internowanych. W celi na
pierwszym piętrze, do której przydzie-
lono Jerzego Litwiniuka, mieszkał m.
in. wojewoda lubelski Władysław Cho-
lewa, Józef Dolina-„Zych”, Tadeusz
Markiewicz. Cella sąsiednia była zwa-
na „celą generalską”. Byli w niej: gen.
Kazimierz Tumidajski-„Marcin”, gen.
Ludwik Bittner-„Halka”, gen. Adam
Switalski-„Dąbrowa”, ppłk Stefan Czer-
wiński-„Karabin”.

Litwiniuk siedział także razem z
chłopcami z Helenowa spod Lublina:
Feliksem Gajkosiem, Łużyckim... Póź-
niej przyszedł do celi również mjr
Mańkowski, Otmar Poźniak, Piotr Po-
tasieński oraz Bronisław Mazurek,
przedstawiciel Delegatury Rządu z
Bilgoraja...

Starali się nie poddawać złym na-
strojom. „Trzymali fason”. Robili na-
wet „programy rozrywkowe” i organi-
zowali konkursy plastyczne.

Internowani z celi nr 13 zorgani-
zowali „podwieczorek przy mikrofonie”
(oczywiście — bez mikrofonu), nawią-
żujący do tradycji znanej przed wojną
Lwowskiej Wesolej Fali. Wystawiono
też szopkę polityczną (w typie pol-
skich jasełek). Teksty do tej szopki
napisał ostatni dowódca 27 Wołyńskiej
Dywizji Piechoty AK, mjr Tadeusz
Sztumberk-Rychter-„Zegota”, a przed-
stawienie reżyserował ppłk Stanisław
Węglowski-„Romantek” z Puław.

W szopce, jako Herod-Hitler, wy-
stąpił Zdzisław Szewczyk. (Notabene,
Zdzisław Szewczyk, oznaczony nume-
rem „100”, zamykał listę „Stu...” Wró-
cił do Lublina i żyje tutaj do dzisiaj).

Jerzy Litwiniuk pomagał robić re-
kwizyty do szopki. Na konkursie prac
artystycznych, zorganizowanym w „Sa-
natorium pod pepeszą”, otrzymał II
Medal za — jak stwierdza specjalny,
po dziś dzień zachowany dyplom —
„rzeźby projektu i wykonania ob. Li-
twińskiego Jerzego, a to: 1. król —
nagroda szachowa (nr 15, kat. og.), 2.
nóż fantastyczny (nr 17, kat. og.), a
równocześnie [jury] zaszczytnie wyróż-
niło tegoż autora rzeźbione cygarnicz-
ki, a to: 1. „smok” (nr 19, kat. og.), 2.
„fantazja” (nr 22, kat. og.)”. Na
ręcznie rysowanym dyplomie widnieje
u góry wizerunek budynku (zapewne
„Sanatorium pod pepeszą”) oraz ini-
cjał: OPWP — Obóz Polskich Wię-
źniów Politycznych.

Po Bożym Narodzeniu 1945 r.

„Sanatorium pod pepeszą” zostało zli-
kwidowane. Internowani wyruszyli po-
ciągiem z Charkowa i około 1-2
stycznia 1946 roku dotarli do obozu w

Diagiliewie pod Riazaniem. Jechali
wagonami-więźniarkami, typowymi
„stolypinkami”.

Diagiliewo było obozem zupełnie in-
nym niż „kameralny” punkt internowa-
nia w Charkowie. Jerzy Litwiniuk
zapamiętał, że przebywało tutaj około
tysiąca trzystu internowanych. Wkrót-
ce po ich przybyciu wyjechała stąd
około siedmiusetosobowa grupa do Pol-
ski. Ale obóz wcale się przez to nie
opóźnił. Przybywały z różnych stron
grupy następne. M. in. grupa kijow-
ska, grupa akowców ze Skrobowa pod
Lubartowem, a w niej — m. in. Jerzy
Krzyżanowski, czyli podchorąży „Spic”
z oddziału „Szarugi”.

W obozie krzewiło się życie kultu-
ralne. Istniała m. in. orkiestra kiero-
wana przez Ryszarda Damrosza (zna-



Orkiestra internowanych w obozie w Diagiliewie — pod portre-
tem Józefa Stalina. W środku, w drugim rzędzie (z czarnymi włosami
zaczęsanymi do góry) kierownik orkiestry — Ryszard Damrosz.

nego później w Polsce kierownika mu-
zycznych zespołów rozrywkowych).
Działał teatr „Nasza Buda”. Jego kie-
rownikiem był obecny docent Janusz
Kozakiewicz. Głównym dostawcą
tekstów dla teatru (który gustował ra-
czej w lżejszym repertuarze) był Wa-
claw Lisowski z Lublina (także znaj-
dujący się na liście „Stu z Lublina”
pod numerem 46). Dekoracjami zaj-
mował się Stanisław Biernacki, a po-
magał mu w tym Jerzy Litwiniuk.
Wśród aktorów był zawodowy lubelski
przedwojenny aktor Orsza, członek wy-
wiadu Armii Krajowej (o powojennym
procesie Orszy pisze Konrad Bielski,
lubelski literat i adwokat, obrońca Or-
szy w tym procesie, w książce „Ta-
jemnica kawiarni „U Aktorów”)

14 lub 15 lutego 1947 r. Jerzy Li-
twiniuk został włączony do grupy in-
ternowanych, którzy mieli wracać do

kraju. Po kilkutygodniowym pobycie
w obozie przejściowym w Brześciu nad
Bugiem przekroczył znowu granicę
Polski. Jak stwierdza zaświadczenie
nr 428297, wydane przez Państwowy Ur-
ząd Repatriacyjny — Ministerstwa
Administracji — Punkt Przyjęcia w
Białej Podlaskiej:

„Zaświadczam, że ob.
Litwiniuk Jerzy [urodzony] 30.III.1923,
Krzemieniec — przybył do Polski z
terytorium ZSRR i dnia 20.III.1947 r.
zarejestrował się na Punkcie Przyjęcia
w Białej Podlaskiej. Obecnie udaje się
do Lublina.

Na podstawie zarządzenia Rady Mi-
nistrów z dnia... ob. ... ma pierwszeń-
stwo i prawo jednorazowego bezpłat-

nego przejazdu wszelkimi środkami lo-
komocji do Lublina.

Władze Państwowe i Samorządowe
są prośzone o udzielenie jak najdalej
idącej pomocy okazicielowi niniejsze-
go [...]”.

Zdjęcie J. Litwiniuka, pieczęć i pod-
pis Kierownika Punktu Przyjęcia w
Białej Podlaskiej.

Jerzy Litwiniuk mieszka dziś w
Warszawie przy ul. Białobrzskiej; dr
Krystyna Platakis-Rysakowa — na
LSM; mgr Barbara Litwiniuk-Mali-
nowska, profesorka w jednej z lubel-
skich szkół średnich — przy ul. Obroń-
ców Pokoju.

A całą tę historię mogłem opisać w
42 lata po jej zakończeniu.

MATURZYŚCI O MIŁOŚCI

Dokończenie ze str. 5

Liceum im. Mikołaja Kopernika w Lu-
blinie, bowiem w zasadzie tylko —
spośród pięciu klas maturalnych pod-
jęła ten temat. 25 proc. klasy rozpi-
sywało się właśnie o „sposobach wy-
rażania uczuć do kobiety”, uznając ten
temat za szczególnie atrakcyjny.

Według opinii polonistki, prowadzą-
cej klasę przez cztery lata, był to ze-
spół młodzieży uzdolnionej humani-
stycznie, z którym trudno będzie się
jej rozstać. W trzydziestokilkusobowej
grupie dominowało kilku młodych eru-
dytów o wysokiej inteligencji, śmia-
łych, otwartych poglądach i wrażliwo-
ści godnej prawdziwego humanisty. O-
czywiście, że młodzież była do tematu
przygotowana, bowiem „edukację mi-
łosną” w oparciu o literaturę rozpoczą-
ła polonistka już w klasie II.

Sposób, w jaki romantycy traktują
uczucia, ówo „mieć serce i patrzeć w
serce”, narzuca konieczność przepro-
wadzenia dyskusji na temat miłości
romantycznej i współczesnej. W zasa-
dzie w klasie II i III prawie każda
lektura daje ku temu okazję, zwłasz-
cza, że młodzież najwyżej odbiera
właśnie wątki miłosne, komplikacje u-
czuciowe bohaterów. Młodemu czytel-
nikowi kwestie te są bliższe od pro-
blemów społecznych i narodowych,
bowiem łączą się z ich własnym doj-
rzewaniem.

W lekturze klasy III sposób prezen-
towania miłości, na przykład w litera-
turze modernistycznej, staje się tak
nieoczekiwanie brutalny i podniecają-
cy, zwłaszcza w zestawieniu z litera-
turą romantyczną, że młodego czytel-
nika nie można pozostawić w tym
momencie sam na sam z tymi właśnie
problemami. Bywały takie lekcje, kie-
dy po namiętej dyskusji, np. na te-
mat romansów Cezarego czy Zenona
Ziembiewicza oraz ich sposobu trakto-
wania kobiet, polonistka zmuszona by-
ła wysłać „pleć brzydką” na spacer,
aby dalszą część dyskusji przeprowa-
dzić wyłączenie z dziewczętami.

Z tego też powodu z reguły w kla-
sie III proponowała swoim uczniom
na przykład taki temat pracy klaso-
wej: „Miłość niejedno ma imię, czyli
moje rozważania o miłości i erotyz-
mie w literaturze młodopolskiej i o-
kresu XX-lecia międzywojennego”.
Znaczna część młodzieży właśnie ten
temat podejmowała.

Prawda jednak, że czasu na lekcjach
jest za mało, a lektur przybywa. Może
warto byłoby dodać choć jedną lekcję
polskiego tygodniowo więcej — bądź
w klasie III, bądź w klasie matural-
nej — kosztem chociażby zajęć fakul-
tatywnych, nie zawsze dobrze wyko-
rzystywanych. Ogólny zysk przy tak-
im rozwiązaniu będzie większy od e-
wentualnych strat.

Maria Pobóg

białostockiego, że język białoruski
jest językiem obcym”.

Warto tutaj zaznaczyć, że poczucie
obcości wobec języka białoruskiego i
w ogóle białoruskości dotyczy w pe-
ni tylko starszego pokolenia. Młod-
sze — poddane, właściwie od urodze-
nia, swoistej indoktrynacji, propagan-
dzie, ale i preji psychicznej —
czasem utożsamia się z białoruskością,
odrzucając polskość, a nie widząc żad-
nego rozumowania wg schematu: „Mieszkam
na terenie, gdzie działa Białoruskie
Towarzystwo Społeczno-Kulturalne,
istnieje białoruskie szkolnictwo, w
kiosku można kupić białoruską gazetę
„Niewa”, po sąsiedzku, gdzie ludzie mó-
wią tak samo jak na Podlasiu, jest
Białoruska SSR, a nie jestem Polakiem
— jestem więc Białorusinem”.
Dalej rozumowanie to może prowadzić:
„Jestem Białorusinem, a więc język,
którym mówię i którego nauczyli
mnie rodzice, to język białoruski”.
Trzeba tutaj zaznaczyć, że przedsta-
wicieli starszego pokolenia nigdy nie
określili swego języka nazwą „biało-
ruski”.

Kolejnym problemem, jaki pojawia
się, jest samoświadomość językowa
mieszkańców Północnego Podlasia,
tzn. jak sami określają język, którym
mówią. Właściwie pierwszym, co rzu-
ca się w oczy, są wielkie trudności
przy określaniu swego języka przez

użytkowników, chyba że mamy do
czynienia z kimś święcie przekonany-
m, iż to język białoruski (najczę-
ściej będzie chodziło o działacza biało-
ruskiego). Charakterystyczną jest
wypowiedź zapisana przez wybitnego
polskiego językoznawcę prof. Włady-
sława Kuraszkiwicza w jednej z
wsi Podlasia: „Jakas' takaja mowa,
czort jeji znaje jakaja, ni to ruska [w
znaczeniu rosyjska — G. M.], ni to pu-
ols'ka, ni ukrajins'ka, ni lituows'ka
[tzn. białoruska — G. M.], ot takaja
prosta i w każdym selie insza”.

Najczęściej spotykanym terminem
używanym przez ludność Płn. Podla-
sia jest określenie: „Po swojemu” ja-
ko odpowiedź na pytanie: „Jak mó-
wisz?”, a także „po rusku” albo „po
chachlaku”. (Tu trzeba przypomnieć,
że nazwą „chachol” określano Ukraiń-
ców; używa się tej nazwy nawet ob-
ecnie, szczególnie na pograniczu ukraiń-
sko-rosyjskim). Ludność nie używa
więc terminów współczesnych, lecz ar-
chaicznych, które nie zawsze potrafi
„przełożyć” na współczesne.

Jeśli chodzi o naukowe badania
gwar Podlasia, to rozpoczęły się one
już w XIX w. Podlaskimi dialektami
zajmowali się tacy wybitni języko-
znawcy, jak K. Michalczuk, A. Sza-
chmatow, W. Szymanowski, A. Krym-
ski. Zaliczają oni gwary podlaskie do
gwar „matorosyjskich”, czyli ukraiń-
skich (nazwą „Matorosja” określano w
carskiej terminologii Ukrainę).

Po I wojnie światowej badania w
tej dziedzinie kontynuuje wspomniany
już wcześniej prof. W. Kuraszkiwicz.
Jego badania potwierdzają wcześnie-
sze ustalenia, a prace tego uczonego
stały się klasycznymi, jeśli chodzi o
problematykę gwar Podlasia, ale tak-
że szerzej — w całym językoznaw-
stwie wschodniostowiańskim w Polsce,
szczególnie w zakresie dialektologii.

Po II wojnie światowej prof. W.
Kuraszkiwicz swoje prace kontynu-
uje. Badania nad tą problematyką
podjęła także Katedra Filologii Biało-
ruskiej UW oraz Instytut Słowia-
noznanstwa PAN; wyniki ich prac
zostały zebrane w monumentalnej
pracy „Atlas gwar wschodniostowiań-
skich Białostoczczyzny”, którego pierw-
szy tom ukazał się w 1980 r.

Gwarami podlaskimi zajmuje się
również jeden z najwybitniejszych w
Polsce językoznawców w zakresie
języków wschodniostowiańskich, prof.
Michał Lesiów, pracujący w Lubli-
nie na Uniwersytecie Marii Curie-
Skłodowskiej. Napisał m.in. obszerną
pracę „Gwary ukraińskie w PRL”,
która jest obecnie publikowana na ta-
mach języcznego ukraińskiego czasopi-
sma w Polsce „Nasze słowo” (teraz są
właśnie drukowane rozdziały dotyczą-
ce dialektów podlaskich).

Z punktu widzenia językoznawstwa
wschodniostowiańskiego gwary Podla-
sia określane są jako ukraińskie, czy
— dokładniej — jako gwary należące

do północnego narzecza języka ukraiń-
skiego. Podstawą dla takiej klasyfika-
cji jest to, że w gwarach podlaskich
zachodzą zasadnicze procesy językowe
charakterystyczne dla języka ukraiń-
skiego, jak twierdzenie spółgłosek
przed „e” i „i” (np. w j. ukr. „teper”
— „teraz”, w j. białoruskim „ciapier”
— na Podlasiu również „teper”; w
j. ukr. „chodyty” — „chodzić”, w j.
blr. „chadzic”, na Podlasiu występują
różne formy: „choditi”, „chodyty”,
„chodyty”). Nie występują tu nato-
miast cechy charakterystyczne dla j.
białoruskiego, jak akanie (ukr. „ho-
łowa”, blr. „holawa”, na Podlasiu
„holowa”), dzikanie (przykład z „cia-
dzic”), czy ciakanie (przykład z „cia-
pier”). Gwary podlaskie różnią się od
literackiej formy j. ukraińskiego i in-
nych gwar ukraińskich — wiąże się
to z ich archaicznością.

Jak widać, właśnie w języku kryje
się rozwiązanie przynajmniej części
zagadkowych problemów związanych
z Północnym Podlasiem. Z pewnością
sporo zagadnień okaże się o wiele
bardziej trudnymi do wyjaśnienia.
Dlatego też byłoby wspaniale gdyby,
choćby dzięki inspiracji artykułem
M. Haponiuka, problematykę wschod-
niostowiańskiej ludności Północnego
Podlasia zajęli się np. lubelscy socjo-
logi.

Grzegorz Matczak
Lublin

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znaczącej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarmem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kasaerzysty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odaleń do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice stonianej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński *Córce mojej poświęcam*

Działal-Abad,
22 marca 1942 r.

Jesteśmy tu od wczoraj. Rozbiliśmy kilkanaście namiotów, pod którymi urządziliśmy ambulans i nasze „kuchnię”. Natomiast Izba Chorych ulokowana została nie tu, na podmiejskich błoniach, ale w samym mieście.

Jest zimno. Prawdziwa marcową pogodą. Od czasu do czasu przez powiewy chmur przebijają się słońce i wtedy śnieg zaczyna topieć.

Ze swego namiotu widzę jak na dłoni okolice Działal-Abadu. Miasto otoczone jest wysokimi szczytami górskimi. W dali za miastem, na zboczu góry, widnieją budynki tzw. „Kurortu”, gdzie mieści się obecnie szpital sowiecki ewakuowany z Moskwy. Odsyłamy do niego naszych chorych — płucnych.

Poprzez drogę stacjonujemy z jednym z pułków artylerii. Z drugiej strony przylegają do naszego obozu zabudowania kolchozu, noszącego imię jakiegoś przywódcy partyjnego. Cała reszta doliny pokryta jest polami trójnokolorowej bawełny, zasianymi w wodę z pobliskiego „aryka”.

Jak już wspomniałem, Izba Chorych mieści się w samym Działal-Abadzie, w budyneczku przy ulicy Pachta Kucza (co oznacza — ulicę Bawelnianą), wynajętym od uzbeckiej gospodyni za 150 rubli miesięcznie. W ciszy i spokoju upływa nam — jak na razie — życie na Izbie razem z Jasiem Blachutą, bo Franek Rezter urzęduje na błoni, w ambulansie pod namiotami. Kierownikiem Izby Chorych jest dr Segal, który mieszka w samym Działal-Abadzie. Jest z nim zona, która przybyła niedawno z miasta Kustanaj, gdzie pracowała w cegielni.

Chorych wojskowych mamy teraz niewiele. Przewalila się już tutaj epidemia tyfusu, zmniejszyła się też liczba innych chorób. Za to udzielamy pomocy wielu osobom cywilnym; Polakom zamieszkałym w Działal-Abadzie lub w jego okolicach. Przeważają wśród nich kobiety i dzieci. Najbardziej troskliwą opieką otaczamy dzieci. Te biedne, wynędzniałe maleństwa wymagają szczególnej troski. Trapią je głównie choroby skórne.

Działal-Abad jest miastem liczącym około dziesięć tysięcy mieszkańców; leży w południowej części Kirgizji, w dolinie rzeki Kugart, w odległości 87 kilometrów od miasta Andizan, które znajduje się już w Uzbekistanie. Większość tutejszych mieszkańców to Uzbeki zatrudnieni w kolchozowych gospodarstwach rolnych. Miasto zaczęło się rozwijać od czasu, gdy w 1929 r. zbudowano linię kolejową Urzatiwskaja — Bagysz przez Andizan i Działal-Abad.

Okolo pięciu kilometrów od stacji kolejowej, na zboczu góry Ajub-taj, u której podnóża płynie Kurgat, znajduje się wspomniany już zakład leczniczy „Kurort”, zwany przez miejscową ludność: Chazret-ajub.

Klimat położonego na wysokości 981 m nad poziomem morza „Kurortu” jest suchy. Właśnie z racji tego klimatu powstał tu zakład leczniczy. Woda dostarczana jest do zakładu z około dwudziestu źródeł mineralnych o temperaturze od 16 do 41 st. C. Wypełnia się nią wanny i baseny dla kuracyjnych kąpeli. Ambulatoria, solarium i pensjonat obliczone są na stu sześćdziesięciu stałych kuracjuszy. Kieruje się tutaj chorych na płuca i z dolegliwościami dróg oddechowych. Leczy się także podagry, choroby skórne, weneryczne (szczególnie syfilisa w późniejszych stadiach), również choroby kobiece. Sezon kuracyjny trwa od 1 czerwca do 30 września. W okresie tym przewija się przez zakład około dwóch tysięcy kuracjuszy.

Miejscowość, gdzie leży „Kurort”, nazywa się Kok-Jan-Gak. Jeździ tam często polski lekarz w odwiedziny do naszych chorych znajdujących się na leczeniu. I dla dokonania nieformalnej inspekcji. Czasem zagląda do „Kurortu” także Szef Służby Zdrowia 5 Dywizji Piechoty, płk Zacharski. Słyszałem, że na niektórych oddziałach tamtejszego szpitala pracują także lekarze polscy.

Od pewnego czasu w Kok-Jan-Gak przebywają na leczeniu ranni w walkach na Kaukazie żołnierze sowieccy, dowożeni z Baku do Krasnowodska statkami, a z Krasnowodska do Działal-Abadu koleją. Ostatnio nawet wybudowano bocznice kolejową ze stacji Działal-Abad do Kok-Jan-Gak dla łatwiejszego i sprawniejszego przyjmowania transportów rannych.

Kirgiska ASSR ma około półtora miliona mieszkańców. Zaludnienie jest bardzo rzadkie, około 7,4 na kilometr kwadratowy. Ten górzysty kraj, z wysokimi masywami Tien-Szanu i Pamiro-Aitaju, graniczy od wschodu z Chinami, na północy z Kazachstanem, na południu z Tadżykistanem. W swej zachodniej części góry Kirgistanu jakby rozszczepiały się, obejmując z dwóch stron Dolinę Fergańską, w której stoją obozem nasze wojska.

[Jednostki formującej się w południowych republikach ZSRR, Armii Polskiej rozrzucone były na ogromnym obszarze: od pogranicza z Chinami po Amu-Danię. Dowództwo armii stało w miasteczku Jangi-Jul pod Taszkientem (Uzbekistan); 6 Dywizja Piechoty — w miasteczku Szachri-Zibas (na północ od Afganistanu); 5 DP — w Działal-Abadzie (Kirgizja); formujące się: 7, 8, 9 i 10 Dywizje Piechoty — od Kermine (Turkmenia) po Dolinę Fergańską. Spośród in-

nych rodzajów broni np. 1 Pułk Ułanów stacjonował w miejscowości Otar, niedaleko Alma-Aty — przyp. M. D.]

Działal-Abad,
27 marca 1942 r.

Dziś nastąpił, dawno już zapowiadany, wyjazd rodzin wojskowych i wojska do Iranu [tzw. pierwsza ewakuacja z ZSRR — przyp. M. D.]. Między innymi wyjechał również nasz dotychczasowy dowódca dywizji, gen. Boruta-Spiechowicz.

Poszliśmy z kolegami na dworzec kolejowy. Ruch był wielki. Żołnierze pomagali ludności cywilnej w ładowaniu się do wagonów.

Okolo godziny 10 dano sygnał do odjazdu. Gen. Boruta-Spiechowicz pożegnał się ze swoim sztabem i delegacjami oddziałów 5 DP. Mocny, sendeczny pocałunek otrzymał od komendantki kompanii ochotniczek. W pożegnalnym przemówieniu generał podkreślił, że nie żegna się z nami na zawsze, bo spotkamy się na polu walki, w drodze do Wolnej Polski. Gromki okrzyk: „Niech żyje generał Boruta-Spiechowicz!” podchwyczony został przez wszystkich obecnych na peronie.

Pożegnaniu przyglądali się przedstawiciele Armii Sowieckiej i zaciekawiona ludność miejscowa, której zresztą służby sowieckie nie pozwoliły zbliżyć się do wagonów.

Radość wśród wyjeżdżającej ludności była bardzo wielka, trudna do opisanie. I dzy, i promienne uśmiechy szczęścia. Pozostający tutaj cywile mieli miny posmutniałe; wielu powtarzało: „Nie miałem szczęścia wyjechać tym transportem!”

Następny transport ma odjechać 8 kwietnia.

Działal-Abad,
5 kwietnia 1942 r.
Święto Wielkiej Nocy.

Pierwsze Święta Wielkanocne jako wolni obywatele na sowieckiej ziemi obchodzimy w wojsku, w słonecznej krańce Kirgizji, w gościnie u Uzbeków.

Jakże te święta odmienne są od tych na Ojczyściej Ziemi kilka lat temu!

Staraliśmy się, aby upodobnić jak najbardziej obchodzoną tutaj Wielkanoc do naszych rodzinnych, polskich Świąt Wielkanocnych. Na stole znalazło się jajko wielkanocne, a co do reszty — to w miarę możliwości, na ile nas stać. Obfitości jednak nie było, bo ani zapasy wojakowe, ani miejscowy rynek nie był zdolny dostarczyć tego, co należałoby postawić na tradycyjnym świątecznym stole.

Przed rokiem obchodziliśmy Wielkanoc w rozproszeniu, na bezkresnych przestrzeniach, rozdarci. Dzisiaj jesteśmy razem, ramię przy ramieniu, jako żołnierze Rzeczypospolitej Polskiej, i w oczekiwaniu rychłej walki orężnej, krwawej, lecz sprawiedliwej dla Polski.

Nasi najbliżsi w Kraju, nasze Żony, nasze Matki, nasze Dzieci, Siostry i Bracia śpiewają dziś — „Wesoly nam dziś dzień nastał!”, bo wiedzą, że my jesteśmy znów wojskiem; bo wiedzą i wierzą, że przyniesiemy im wolność.

A my tutaj, składając sobie przy wspólnym żołnierskim stole z kolegami życzenia, dzieląc się jajkami, życzymy sobie nawzajem, by podobne Święta w roku przyszłym spędzić w Kraju; by radość zmartwychwstania dodała nam siłę do walki.

Działal-Abad,
7 kwietnia 1942 r.

Do opieki nad pozostałą tutaj ludnością polską utworzono w Działal-Abadzie specjalny Komitet Opieki Społecznej, prezesem którego ma być jakiś znany, przedwojenny społecznik. Jak już przedtem wspomniałem, trwa akcja dożywiania naszej ludności przez kuchnie wojskowe.

Rodziny wojskowe (osoby, które mają ojców, mężów lub braci w wojsku) otrzymują — oprócz strawy — buty, bluzy, spodnie, płaszcze, koce z magazynów wojskowych. Wiele z tych przedmiotów ukazuje się później na czarnym rynku. Miejscowa policja wylapuje sprzedających jako handlarzy. Za uzyskane pieniądze sprzedający nabywają na bazarze produkty żywnościowe, jarzyny, owoce południowe, których dostarczają na rynek okoliczne koczochy. Wielkie wzięcie mają owoce: granaty, morele, melony i arbuzy. Na rynku piętrzą się tego towaru całe stosy.

W kioskach od czasu do czasu dostać można wino, które kupują nie tylko rodziny, ale przede wszystkim wojskowi. Drogie, bo drogie to wino, ale dobre. Znawcy i smakosze zapijają się nim do syta. I powiadają, że ze wszystkiego tutaj jedynie wino i spirytus — najlepsze. Miałem i ja możność przekonać się o dobroci tego nektaru, wypijając jednym tchem całą szklanekę w jadłodajni „służaszcznych NKWD” przy ul. Sowieckiej.

Ostatnio ograniczono podaż wina i miejsce zakupu. Być może dlatego, że Polacy wszystko w mię wykupili, a nowy transport jeszcze nie nadszedł. Dla Polaków nie ma niczego takiego, czego by oni nie wykupili z rynku, nawet za ostatnie rubie, wyzbywając się pieniędzy; ale nie dlatego, by ich mieli za dużo, lecz dlatego, że i tak innego z nich pożytku zrobić nie można.

Działal-Abad,
30 kwietnia 1942 r.

Jest miejsce w Działal-Abadzie, gdzie można wypocząć w cieniu drzew w dni wolne od pracy. To park miejski. Wchodzi się doń po zaplaceniu kilkunastu kopiejek za wstęp.

W parku odbywają się zabawy taneczne, a na estradzie teatru letniego — przedstawienia i koncerty. Występują orkiestry i chóry słynne na całą Rosję. Znalazły tu schronienie, ewakuowane z zajmowanych lub zagrożonych przez Niemców terenów. Na estradzie tej występuje również co tydzień nasza Czołówka Teatralna, dająca doskonałe programy. Na rozpoczęcie, przy niemikających ckałskach, nasi ulubieńcy wita ją z żołnierską przeważnie wiodną słowami: „Czołem koledzy!”. A my odpowiadamy: „Czołem Czołówka”, albo: „Czołem Teatr Polowy!”

Byłem raz tutaj na występach chóru. Miał to być chór białoruski. Podczas koncertu odpiewano także pieśni polskie; między innymi „Prząśniczka” Moniuszki. Chór wykonał te pieśni tak czystą polszczyzną, że aż wszyscy obecni na widowni Polacy byli zaskoczeni. Okazało się, że... wykonawcami byli Polacy z terenów Polski wschodniej, zaangażowani do teatru białoruskiego w Mińsku. Miło było sence usłyszeć w dalekiej uzbeckiej krainie padające ze sceny polskie słowa.

Kiedy indziej znalazłem się na przedstawieniu narodowym uzbeckim. Oczywiście nie rozumiałem ani słowa, ale zachwyciłem się barwnością i oryginalnością uzbeckich narodowych strojów. Zapamiętałem tytuł piosenki, którą wykonywała piękna i o pięknym głosie, artystka. Tytuł — „Suliko”.

Wielu amatorów tańca oddaje się z upodobaniem tej rozrywce w specjalnej sali tanecznej.

[Późniejszy dopisek w dzienniku:]

17 maja wyzedł rozkaz dywizyjny, zabraniający wojskowym publicznych tańceń. Od tej pory nikt już z polskich oficerów i żołnierzy nie odwiedza sali tanecznej. Uroczę Rosjanki i Uzbekki (te postępowe) nie mogły pojąć, dlaczego ich dotychczasowi partnerzy nagle przestali prosić je do tańca. W końcu wytłumaczono im, że tańczy naszym wojskowym nie wolno, a zakaz spowodowany jest żądzą narodową.

Którejś niedzieli byłem w parku świadkiem awantury urządzonej przez Sowietów — Uzbeków z powodu wykupowania przez Polaków lodów w miejscowym kiosku: „Zjadają, a na front nie idą!”

Widocznie jakiś prowokator.

(Koniec odcinka 18. — cdn.)

Podał do druku i opracował:

Mirosław Derecki

PRELUDIUM

PRZED PAŹDZIERNIKIEM?

Wiesław Horabik

SCENERIA, która nie jest szokiem. Jak wtedy w upalnym sierpniu 1980. (Od tamtych czasów staliśmy się jednym z najbardziej rozstrajkowanych krajów Europy). Patrole z opaskami na ramionach przy drzwiach, sute od biało-czerwieni transparenty nad wejściami, skrzekliwy głos z ręcznego megafonu. W środku chłód; ponad dwustu studentów z kilku wyższych uczelni Lublina okupuje przepastny gmach Humanistyki UMCS. Dziewczyny malują plakaty, dziewczyny robią kanapki i warzą herbatę. W jednej z sal materace, a na nich dwóch odspiających noc uczestników protestu. Pracują portierzy i barek w podziemiu (galareta, pierogi, zimne napoje). Pod ścianą porzucona gitara.

„Nie mamy nadziei, by ten strajk przyniósł zwycięstwo. NZZ musiał jednak zareagować na odmowę rejestracji. To tylko prelüdiem przed październikiem. Teraz czas nie jest dchry — sesja. Powiedźcie społeczeństwu, że nie jesteśmy warchołami i obibokami. Walczymy tylko o prawo do własnego związku”.

Na zewnątrz grupy młodych ludzi rozłożone na stopniach Rektora. Im dalej od drzwi Humanistyki, tym więcej w tym wszechogarniającym upale gniewnych głosów. „Cj faceci studiuja historię i polonistykę. Mają na tyle mało roboty, że mogą przy okazji pobawić się w coś innego. Gdyby przyszło im zdawać choćby taką „internę“, siedzieliby teraz na łupia wkuwając”.

Rektor Cackowski przemierza bez słowa puste korytarze. Zagląda na chwile do gabinetu, potem opuszcza „Humanik”. Młody pracownik naukowy ze znaczkiem „Solidarności” w kłapie porządkuje w swoim pokoju jakieś papiery. (Studenti wpuszczają

naukowców do gmachu w nagłych przypadkach). „Solidarność” może być tylko mediatorem w tym sporze. Bierzemy udział w takich rozmowach”. Starszy, zażywny jegomość z teczką-dyplomatką w garści;

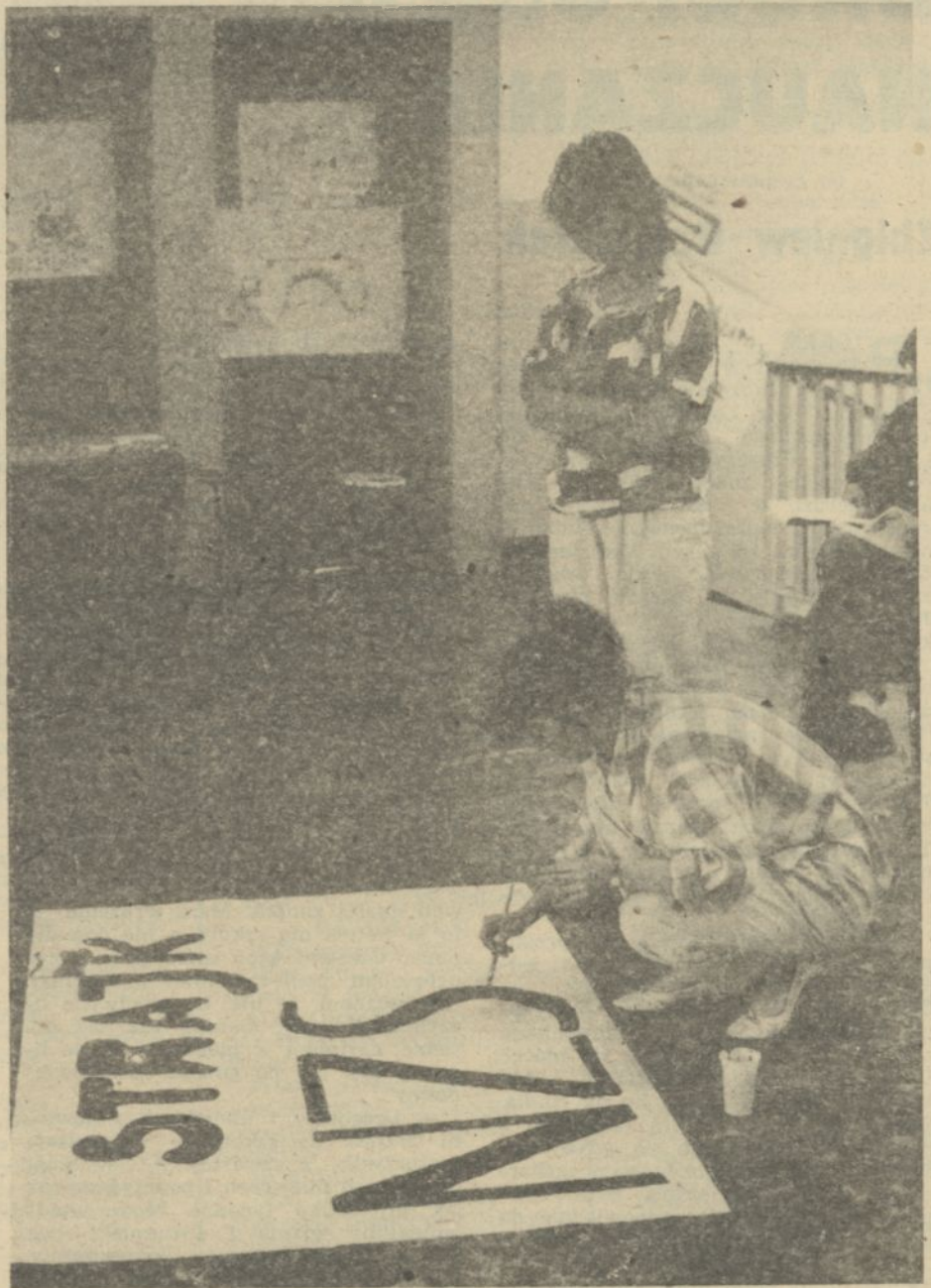
— Wszystko rozbija się o „kruczek prawny”. Studenci mówią: „To, co nie jest zabronione prawem, jest dozwolone”. Strajk nie jest zabroniony w ustawie o stowarzyszeniach, choć nie jest w niej ujęty. Władze utrzymują, że stowarzyszenia prawa takiego nie posiadają. Mam dużo zrozumienia dla tych młodych ludzi. Sam przecież też studiowałem. Czy komuś potrzebna taka polityczna przepychanka?

Strajkujący wydają własną „Gazetę”. W jej trzecim numerze pomieszczone sondę: dlaczego strajkujesz? Portier: — Jestem z wami. Strajkujecie, bo Sąd w Warszawie nie zarejestrował NZZ-u. Gdybym był studentem, to też bym strajkował. Ela: — Odpowiedź na plakatach. Anka: — Ja nie chcę odpowiadać, bo jestem wstydliva. Janusz: — Strajkuje, bo lubię. Andrzej: — Nie mam gdzie spać, a poza tym myślałem, że idę do kina. Jarek: — Strajkuje, bo nie miałem czym wrócić na Felin.

Jeden z pracowników fizycznych uniwersytetu nawymyślał studentom, nie mogąc dostać się do swojego magazynku. Ktoś powiedział niedawno, że łatwo jest wywołać u nas historię antyinteligentką. Tę lekcję też przerabialiśmy. Przewala się więc ideologiczne „bla, bla” w najgorętszym uniwersyteckim czasie, a miączą większość studentów czeka.

• Takie polskie signum temporis.

Fotografował:
Waldemar Stępień



DRUGI OBIEG NAUCZANIA

Zbigniew Dzięciołek

PIOREM — szkołę — pisał Piotr Sarzyński w „Polityce”. „Innego końca szkoły nie będzie” — wtórował mu Piotr Legutko z „Tygodnika Powszechnego”. O szkole mówi się i pisze źle. Przyczyny tego stanu rzeczy są ogólnie znane i nikt już dziś nie twierdzi, że bez zasadniczych zmian szkoła może normalnie funkcjonować. Zgadza się z tym Ministerstwo Edukacji Narodowej, głośno oświadczając: jesteśmy za reformą oświaty! Jak ją realizować? To proste. Przekażemy coś „w dół”, wycofamy część „w górę”. Ciała kolegialne? Naturalnie: dyrekcji się zabierze, radom pedagogicznym doda, komitety rodzicielskie poszerzy, samorządy szkolne zostawi, godziny uczniom się obeźnie i zabawa w „chowanego” wciąż trwa. Tymczasem życie szkolne toczy się dalej, a końca drogi jeszcze nie widać. To zmęczenie rodzi irytację i brak zaufania: do szkoły i nauczycieli. Toteż rodzice i uczniowie sami szukają wyjścia z impasu.

— Proszę pana, szkoła po prostu przeszkadza — stwierdza matka jednej z tegorocznych maturzystek. — Córka zdaje w tym roku na medycynę. Zalaatwiłam jej dobre korepetycje z fizyki, chemii i biologii... Ile płacę? Dużo. 60 tysięcy miesięcznie. Ale wiem, że Anka dostanie się na studia. Szkoła zaś nie daje tej pewności. I wcale nie zdziwiłabym się, gdyby absolwent liceum czy technikum zaskarżył do sądu swoją szkołę, że nie wyposaża go w wiedzę odpowiednią do przekroczenia progu wyższej uczelni.

Nie wszyscy rodzice wygłaszają tak kategorię sady. Mało kto może też pozwolić sobie na podobne wydatki. Trudno jednak nie dostrzegać samego problemu, który stał się już plagą polskiej oświaty. Mówienie, że prywatne szkolnictwo nie istnieje jest zatem bzdurą. Ono tworzy się samoistnie, obok a raczej pod bokiem szkoły państwowej i — zazwyczaj jak państwowej — niewydolnej. Powstaje chaotycznie, na zasadzie „wolnej amerykanki”. Reguły gry dyktują korepetytorzy.

Z ankiety, którą przeprowadziłem w dwóch maturalnych klasach lubelskich liceów („Zamoyski”, „Staszic”), wynika, że 70—80 procent młodzieży uczęszcza na korepetycje z różnych przedmiotów i nie są to bynajmniej klasowi słabeusze. Ich rodzice płacą za te „dodatkowe lekcje” około 650 tysięcy złotych miesięcznie, co daje średnio około 10 tysięcy na każdego ucznia (bez względu na to, czy bierze korepetycje, czy nie). A ceny za lekcje bywają różne: od 1500 do 5000 złotych, co zależy od tego, kto daje korepetycje i w jakim celu. Najlepiej widziani są wykładowcy z uczelni, w których zamierza się studiować. I oni są najdrożsi.

Dlaczego uczniowie biorą korepetycje? Oto kilka wypowiedzi z ankiety: „Nie odpowiada mi sposób uczenia w szkole. Profesor uważa, że on ma nas przygotować do matury i PRZEROBIC program, a egzaminy wstępne to już osobista sprawa każdego. To po co my chodzimy do szkoły?”. „Dzięki korepetycjom mam szansę dostać się na studia, bez nich — nie”. „Są to korepetycje, które biorę u ludzi wykładających na interesującej mnie uczelni. Liczę na swego rodzaju „pomoc”. „Zmuszają mnie do nauki, ponieważ wiem, że rodzice płacą za to duże pieniądze”. „Jest to uzupełnienie wiedzy z zakresu szkoły średniej i w ogóle lepsze przygotowanie do egzaminów wstępnych”. „Zmuszają mnie do systematycznego uczenia się”. „Korepetycje są tylko dla mnie”. „Te lekcje dają mi szansę sprawdzenia swoich możliwości. Szkoła nie jest w stanie zapewnić mi tego”.

Ci, którzy nie korzystają z tej formy nauki, stwierdzili: „Nie mam czasu na korepetycje, ponieważ uczęszczę na zajęcia pozalekcyjne. Jeżeli się dostanę na studia, to chcę mieć satysfakcję, że osiągnęłam cel dzięki własnemu wysiłkowi i pracy”. „Uważam, że wiedza zdobyta w szkole wy-

staroży mi do kontynuowania dalszej nauki”. „Chciałabym brać korepetycje, ale sądzę, że są zbyt drogie”. „Szkoła średnia powinna w dostatecznym stopniu przygotować do egzaminu maturalnego i na wyższą uczelnię”.

Wszyscy jednak byli zgodni, że obecna sytuacja w szkole musi się zmienić.

— Ja słyszę już od podstawówki, że młodzież jest przeciążona, zmęczona, że szkoła jest stresogenna — mówi dziewczyna z czwartej „f” („Zamoyski”). — I co z tego wynika? To wszystko pic na wodę.

— Przebywamy w szkole od sześciu do ośmiu godzin dziennie — dodaje jej koleżanka. — Potem kółka zainteresowań, korepetycje i o osiemnastej jesteśmy w domu. Odrabiamy lekcje, przygotowujemy się do kolejnych korepetycji i o dwudziestej drugiej jesteśmy „wolni”. Zaczynam się w tym wszystkim gubić. Moja osobowość powoli gdzieś zanika. Mam wrażenie, że to ja jestem dla szkoły, a nie ona dla mnie. Czasami ktoś mnie pyta, czy oglądałam poniedziałkowy spektakl. Odpowiadam, że nie, bo wtedy się uczyłam. Książki? Ostatni raz, tak dla siebie, czytałam w pierwszej klasie liceum. My się po prostu „odczłowieczamy”.

— Urzędnicy z ministerstwa powinni przyjść do szkoły — stwierdza maturzystki z czwartej „f”. — Słuchaj na naszych miejscach i pouczyć się tak jak my, kilka tygodni. Może wtedy zmieniliby zdanie i zrozumieliby, że szkoła to nie magazyn komputerów, które można zaprogramować według własnego widzimisię.

— A korepetycje? — pytam.

— To zupełnie inna sprawa — odpowiadają dziewczęta. — Tam chodzi o własną wolę. Nikt nas nie zmusza do nauki. Nie ma idiotycznego systemu nagród i kar w postaci dwójki i piątki. Strach staje się pojęciem obcym. Mamy możliwość bezpośredniego kontaktu z kimś, kto nas uczy, swobodnej wymiany zdań, bez obawy przed kompromitacją.

— Wynika z tego, że w szkole was straszą — przerywam moim rozmówczyniom.

— Może nie dosłownie — odpowiada jedna. — Ale pomiędzy uczniem a nauczycielem wytwarza się jakaś psychiczna bariera, którą trudno przekroczyć. Wtedy rodzi się strach i nieufność. Na przykład na lekcjach matematyki nogi wrastają mi w ziemię, przestaję myśleć. To po prostu horror! Nikt nie neguje przydatności tego przedmiotu, ale w tym wydaniu?

Są jednak takie zajęcia, z którymi wszystkie rozstałyby się bez specjalnego wylewania lez. Na dźwięk „propedeutyka” wybucha w klasie ogólny śmiech.

— Jest to najgłupszy przedmiot w szkole — zgodnie stwierdzają dziewczęta.

Partia marksistowska? Socjalizm! Dla nich są to pusto brzmiące pojęcia, którymi karmiono kilka pokoleń młodzieży. Obecnie propedeutyki w zestawie przedmiotów obowiązujących na maturze uważają za grube nieporozumienie.

Płaca miesięcznie od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy złotych za korepetycje. Dlaczego więc, pytają, nie zalegalizować szkoły prywatnej? Uważają, że taka szkoła zlikwidowałaby problem podwójnego uczenia się, a i koszty byłyby znacznie mniejsze niż obecnie, i 10-, 15-osobowe klasy. Dwadzieścia godzin tygodniowo przez trzy lata, a w czwartej klasie tylko przedmioty egzaminacyjne z możliwością wprowadzenia innych na zasadzie zajęć fakultatywnych. Profilowanie klas od drugiego roku nauki, swobodny wybór nauczyciela... To tylko kilka propozycji zgłoszonych pod adresem „nowej” szkoły.

Marek Kunkiewicz, nauczyciel biologii w II LO, powiedział:

— Sytuacja jest niernormalna. To nie korepetycje, a szkoła ma obowiązek przygotować ucznia do studiów. Czy te zadania spełnia? Wydaje mi się, że

nie wszystkie szkoły i nie w pełni. Powodów tego stanu rzeczy jest wiele. Wymienię tylko najważniejsze. Wymagania egzaminacyjne na wyższych uczelniach nie są skorelowane z poziomem nauczania w szkole średniej. Profilowanie klas odbywa się za wcześnie. Przy czterdziestoosobowych klasach trudno mówić o bliższym kontakcie z uczniem. Baza materiałowa szkół jest fatalna, nie mówiąc już o programach nauczania, nastawionych wyłącznie na wiedzę encyklopedyczną. I wreszcie — sprawa motywacji nauczyciela do pracy. Trzeba być wielkim entuzjastą lub życiowym pechowcem, aby zdecydować się na pracę w szkolnictwie. Prywatyzacja szkoły? Tak. Ale jako rozwiązanie alternatywne. Funkcjonowałaby obok, a nie zamiast szkoły państwowej, która też przecież nie jest bezpłatna. Przestałby się wreszcie oszukiwać. Wszyscy płacimy podatki, tyle, że nie wiemy, na co i ile. Czas najwyższy, aby ten stan uległ zmianie.

Dyrektor II LO im. J. Zamoyskiego, Danuta Łyż:

— Proszę pana, problem jest szalenie złożony. Ta sytuacja trwa już od kilku lat i z roku na rok się pogarsza. Wielokrotnie rozmawiałam na radach pedagogicznych z wychowawcami, aby wytłumaczyli uczniom, że często niepotrzebnie narażają swoich rodziców na zbędne wydatki. Korepetycje są w wielu wypadkach wyrzucaniem pieniędzy. Po prostu nie zachodzi taka konieczność, bo szkoła potrafi i powinna przygotować do egzaminów wstępnych. U nas panuje dobra atmosfera do nauki. Nauczyciele? Są mistrzowie i rzemieślnicy. Z przyjemnością mogę stwierdzić, że w naszej szkole pracuje większość mistrzów.

— A jednak uczniowie korepetycje biorą? — stwierdzam.

— Tak — mówi pani dyrektor. — Coraz częściej idą na korepetycje kosztem lekcji, przynosząc później usprawiedliwienia od rodziców...

Dyskusja w I LO im. St. Staszica z uczniami klasy czwartej „c” miała podobny przebieg jak w „Zamoyskim”. W tej szkole także. Ale uczniowie mówią i o pozytywach.

— Jest nauczanie sam na sam, a wiele osób nie potrafi zmobilizować się do nauki, jeżeli nie czuje nad sobą bata. Kogoś, kto będzie egzekwował wiedzę. W szkole szansa, że będzie się pytanym, jest jak jeden do trzydziestu, a na korepetycjach jak jeden do jednego.

— Jest ogólnie przyjęte, że bierze się korepetycje — podsumowała dyskusję jedna z dziewcząt. — Od kiedy ustaliliśmy w domu, że wybieram się na medycynę, ojciec od razu powiedział, że muszę brać „korki”. Biorą bowiem wszyscy, którzy idą na medycynę.

Rozmowę z dyrektorem „Staszica”, Adamem Sikorskim, przeprowadziłem błyskawicznie:

— Pyta pan o korepetycje zawodowo czy prywatnie?

— Zawodowo.

— Jako dyrektor nie oficjalnie na ten temat nie wiem.

— A prywatnie?

— Także nie mam nic do powiedzenia.

Korepetytorzy, z którymi rozmawiałem (j. polski, historia), mówili o trudnościach uczniów w „poruszaniu się” tematycznym po przedmiocie. Zapytani o „Wesele”, wymieniają „dyżurnego” Wyspiańskiego, nie wspominając w ogóle o Wajdzie. Andrzejewskim czy Nowakowskim.

— Proszę pana — powiedziała telefonicznie pani, zasiadająca wielokrotnie w komisji egzaminacyjnej — na egzaminie od razu się wyczuwa tych, co biorą korepetycje. Ich wypowiedzi są pełniejsze, dojralsze, nie takie szkolne.

— Czy podpisałaby się pani pod tą wypowiedź?

— Oczywiście, że nie. Niech pan sobie wyobrazi, co by się działo, gdybym ja imiennie, jako członek komisji rekrutującej kandydatów na studia, zaczęła do brania korepetycji. Generalnie jestem przeciw. Ale jak nie można inaczej...

Korepetycje to problem nie tylko szkół średnich. Coraz częściej słyszy się również w szkołach podstawowych, że ten i ów „bierze”. Dotyczy to zwłaszcza ośmioklasistów, którzy wybierają się do renomowanych liceów lubelskich. Jeżeli się dostaną, wezmą od pierwszej klasy korepetycje i wstąpią na wyższą uczelnię mają zapewnioną.

Na wschodzie nie przewiduje się większych zmian. „Innego końca szkoły nie będzie”.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:
15.06—18.06 godz. 19: „Markiza de Sade”; reż. Konrad Lesisz.

Teatr Lalki i Aktora:
15.06—16.06 godz. 10, 12; 17.06—18.06 godz. 12: „Ural Batyr” baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Felenczak.

Teatr Muzyczny:
17.06 godz. 18 (Dom Kultury LSM ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę”, „Salon pana Wdęckiego” Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefański.

MUZYKA

W LUBLINIE

15.06 godz. 19 (Aula im. Stefana Wyszyńskiego KUL, Al. Raclawickie 14): koncert organowy Rogera Sayera z Londynu. W programie: Preludium i fuga C-dur BWV 547 oraz Chorał „Allein Gott in der Höh sei Ehr” BWV 663 J. S. Bacha; Allegro z Symfonii g-moll op. 42 nr 6 Ch. M. Widora; Preludium, fuga i wariacje h-moll C. Francka; Improwizacja chorałowa Ch. Tournemire'a, Suita op. 5, Preludium, Siciliana oraz Toccata M. Durufle'a.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu Ryszarda Krzywki (czynna do 20.06).

Muzeum Lubelskie — ogólnopolska wystawa METAFORA'89 — „ziemia”.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4): 15.06 godz. 18 — otwarcie wystawy fotografii Tomasza Tomaszewskiego pt. „Spojrzenie Ameryki” z tekstem Małgorzaty Niezabitowskiej.

Galeria Labirynt 2 (ul. Grodzka 3) — wystawa Dominga Cisnerosa z Kanady.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a): 15.06 godz. 19 — otwarcie wystawy rzeźby Klausa Simona pt. „Zwrotnik” oraz wykład autorski nt. sztuki współczesnej i twórczości autora.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Krystyny Witkowskiej-Trochimiuk.

Galeria Środek (ul. Kiepur 5a) — wystawa ze zbiorów Karola Karwowskiego „Sztuka przez pocztę — Mail Art”.

Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa malarstwa Edwarda Dwurnika.

Oddział Kultury Fizycznej i Sportu (Al. Zygmunto 4) — wystawa pt. „Sport w plastyce NRD”.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Andrzeja Strumiły pt. „Psalmy”.

Muzeum Okręgowe — wystawa pt. „Sztuka jarmarków i odpustów”.

W CHELMIE

Muzeum Okręgowe — wystawa archeologiczna pt. „Odkrycia archeologiczne sezonu 1988 w Polsce środkowo-wschodniej”.

W ZAMOŚCIU

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa litografii Józefa Budki z Katowic.

BWA — wystawa malarstwa Sławomira Kazimierza Zwierza.

TV

CZWARTEK 15 czerwca

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafisz!
8.50 Domowe przedszkole
9.15 „Dempsey i Makepeace na tropie” — odc. pt. „Anioł stróż” — serial krym. prod. ang.
10.15 Domator: Powtórzenie na życzenie: Malujemy mieszkanie
15.55 Program dnia. Dt — wiadomości
16.00 Poligon — wojskowy magazyn public.
16.25 Dla młodych widzów: Kwant, a w nim film z serii „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 Mister eksportu
18.30 Sonda: Prawo siły
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” — odc. pt. „Anioł stróż” — serial krym. prod. ang.
20.55 Studio wyborcze
21.10 Czas — magazyn publicystyczny
21.45 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.30 Rozmyślenia prof. Mariana Stępnia
22.40 Dt — echa dnia
22.55 Jutro w programie.

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Świat festynów
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Magazyn „102”
19.30 Puls: Immunologia — program medyczny
20.00 Rodzice i dzieci
20.30 „Bella” — śpiewa Barbara Nieman
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino Studyjne Dwójki: „Intruzka” — film fab. prod. franc.
23.10—23.15 Komentarz dnia.

PIĄTEK 16 czerwca

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnia domowa — na dzieci
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Dom, który stworzył Swift” (2) — film fab. prod. ZSRR
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Mieszkać — wszędzie można
16.25 Dla młodych widzów: Adres Polska — „Dziesięć wypraw do Naju” (1) — film dok.
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 Czas przeszły dokonany — program dok.
18.20 Studio sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w pięcioboju nowoczesnym kobiet
18.20 Program public.
18.50 10 minut

19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Aleksander Wampilow „Historia z metrapazem”. Reż. Andrzej Rozhin. Wyk.: Jan Matyaszkiewicz, Anna Gornostaj, Marzena Trybala, Bogdan Ejmont, Marek Lewandowski, Emilian Kamiński
21.05 Studio wyborcze
21.20 Spór o jutro: Otwarte studio — program public. (na żywo)
22.20 Jutro w programie
22.25 Dt — echa dnia
22.40 Spór o jutro: Otwarte studio (ciąg dalszy).

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Magazyn „102”
19.30 Dookoła świata: 42 dni na orowcu
20.00 Reportaż: „Pejzaże mazurskie”
20.50 Brawo dla Zygmunta Latoszewskiego
21.30 Panorama dnia
21.45 „Skrzypek na dachu” — film prod. USA
0.35—0.40 Komentarz dnia.

SOBOTA

17 czerwca

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Kino najmłodszych: „Gęsiorek Maciek” — baśń prod. węgier.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Bellona — wojskowy program public.
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 Drzwi otwarte
12.55 Telewizyjny Teatr Prozy: Friedrich Dürrenmatt — „Przygody pana Trapsa”
14.20 „Wyprawa pod podszewkę A’p” — odc. 2 pt. „Na górze, pod górą, pod niebem” — film dok. prod. pol.
14.65 Komedie, komedie, komedie: „Giuseppe w Warszawie” — film prod. pol.
16.30 Losowanie Dużego Lotka

16.40 Program rozrywkowy
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 Byłaś serca biciem — śpiewa Andrzej Zaucha
18.30 Butik — magazyn Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Podróże kapitana Klipera
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Co nowego?
19.30 Dt
20.05 „Laleczki” — film fab. prod. wł.
21.50 Studio wyborcze
22.05 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzieliorz
22.15 Telewizyjny przegląd sportowy
22.35 Koncert na dwa głosy i bas
23.40 Dt — wiadomości
23.45 Jutro w programie
23.50—1.50 Klub filmowy: „McCabe i pani Miller” — film fab. prod. USA

PROGRAM II

14.30 Bariery — program dla niesłyszących
14.55 Powitanie
15.00 Małe kino: „Płaskowyż Tasili” — film dok. Ryszarda Czajkowskiego
15.20 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży
16.50 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” — odc.

pt. „Powołanie” — serial fab. TVP
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Program rozrywkowy
19.30 Galeria 37 milionów: „Arkady”
20.00 Gala baletowa, czyli X Łódzkie Spotkania Baletowe — wydanie specjalne
21.00 Międzynarodowe Targi Poznańskie
21.30 Panorama dnia
21.50 „Chateauballon” (6) — serial fab. prod. francusko-luksemburskiej
22.40—22.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA

18 czerwca

PROGRAM I

9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz w Kinie Teleranka „Kto, ja, panie psorze” (6—ost.) serial ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Życie na planecie ziemia” (2) „Podmorska ziemia” — serial przyrodn. franc.
11.30 Kraj za miastem
12.00 Telewizyjny koncert życzeń
12.45 Morze — magazyn
13.05 Program dnia
13.30 Teatr dla dzieci „Zwariowane królestwo”
13.10 Fotomagazyn „Powiększenie”
14.50 Pieprz i wanilia — nieznaną kraj „Rzeka traw”
15.35 „Katarzyna” (12) — serial kostiumowy prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Antena
17.50 Studio sport
18.30 Panna dziedziczka — serial prod. braz.
19.00 Wieczorynka „Smurfy”
19.30 Dziennik telewizyjny
20.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych” (5) serial TP
21.05 Raport — 7 dni — świat
21.35 Sportowa niedziela
22.15 Premiery po latach Dwójka bez sternika
22.55 Dt — wiadomości

PROGRAM II

10.00 Film dla niesłyszących: „Ucieczka z miejsc ukochanych” — (5) serial TP
11.00 Wędrowką jedną życie jest człowieka — wojsk. prgr. publ.
11.40 Jutro poniedziałek
12.10 Powitanie
12.15 Polska Kronika Filmowa
12.25 Kino rodzinne Powrót na wyspę Skarbów” (9) „Hiszpańskie złoto” serial dok. prod. ang.
13.15 100 pytań do...
14.00 Polacy — film dok.
14.50 Podróże w czasie i przestrzeni „Japonia” (4—ost.) „Odpowiednie miejsce w świecie”
15.45 Z albumu Marii Szymanowskiej — gra Anna Maria Stańczyk
16.15 Być tutaj — gawęda prof. W. Zina
16.30 Program filmowy
17.15 Aktualności kulturalne — Muzyka w Rybnej
17.30 Blżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Goście Daniela Passenta
19.30 Program Publicystyki Kulturalnej
20.00 Koncert „targowy” Międzynarodowych Targów Poznańskich
21.00 Studio Sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichły wojny” (14) — serial prod. USA

22.35 Komentarz dnia
22.40 Dobranoc dla dorosłych

PONIEDZIAŁEK

19 czerwca

PROGRAM I

16.20 Program dnia. Dt — wiadomości
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Telewizyjny informator wydawniczy
17.40 Echa stadionów oraz „Z wiatrem i pod wiatr” — magazyn żeglarski
18.30 Laboratorium: Superklej?
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: „Kucyk” — film prod. ZSRR
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Jerzy Żurek: „Para za parą”. Reż. Andrzej Zakrzewski; wyk.: Anna Romantowska, Wojciech Wysocki, Katarzyna Trzcinska, Krzysztof Kołbasiuk, Anna Nehrebecka i inni
21.10 Kroniki PAT: Tak było...
21.30 „Qui vivra verra” — „Kto przeżyje, zobaczy” — fabularyzowany dokument Lucyny Smolińskiej i Mieczysława Sroki
23.10 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Dżdzysty, serdeczny, braterski
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletrans
19.30 Życie muzyczne: Zakończenie sezonu w Filharmonii Łódzkiej
20.00 Magic lady — spotkanie z Unszulą Dudziak
20.30 Osądźmy sami
21.15 Zamyślenia — program Halszki Wasilewskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Hemingway” (4 — ostatni) — serial dok. prod. ang.
22.45 Komentarz dnia

WTOREK

20 czerwca

PROGRAM I

8.35 Domator: Rady na życzenie; Mieszkanie z pomysłem
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (12) — „Niedzielna zmiana” — serial obycz. prod. CSRS
10.35 Domator: Rady na życzenie
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Gazeta rolnicza
16.25 Dla dzieci: Tik — Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (35) — serial animowany prod. austr.
17.15 Teleexpress
17.30 „Kontrakt stulecia” (1) — dramat polityczny prod. ZSRR
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka
19.10 Stop — Telewizyjny Klub Konsumentów
19.30 Dt
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (12) — „Niedzielna zmiana” — serial obycz. prod. CSRS
21.00 Kroniki PAT: Tak było...

21.15 Konferencja prasowa rzeczniczek rządu
21.30 Studio sport: Memorial im. Bronisława Malinowskiego
22.35 Rozmyślenia prof. Mariana Stępnia
22.20 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej (5)
23.00 Dt — echa dnia.

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości. U progu sztuki współczesnej” (15) — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Na początku był puch — reportaż o Zofii Ars-Iwańskiej — dyrektorze Zakładów Odzieżowych „Warmia”
19.00 „Wojna domowa” (6) — „Trójka klasowa” — serial TVP
19.30 Blisko nieba: Na skrzydłach — magazyn poświęcony sportom lotniczym
20.00 Non stop kolor
21.00 Powtórka z historii
21.30 Panorama dnia
21.45 „Hrabina Cosel” (3) — serial prod. NRD
22.35 Studio „Solidarność”
23.20 Komentarz dnia.

ŚRODA

21 czerwca

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Spotkamy się w me-trze” (1) — film fab. prod. ZSRR
10.30 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.10 Program dnia. Dt — wiadomości
16.15 Losowanie Express Lotka i Super Lotka oraz zakładów specjalnych
16.25 Scena TDC: Stonoga
16.50 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Lex — zapowiedź programu
17.35 Spojrzenia
18.05 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj: Archiwum XX w.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Proszę słońca
19.10 Lex — magazyn społeczno-prawny
19.30 Dt
20.05 „Alabama” — dramat psychologiczny prod. pol. Reż. Krzysztof Rydzewski; wyk.: Maria Probosz, Grzegorz Matysik, Beata Maj
21.35 Kroniki PAT: Tak było...
21.50 Lex — magazyn społeczno-prawny
22.00 Raport
22.30 Dt — echa dnia

PROGRAM II

16.50 Program dnia
16.55 Studio sport: Piłka nożna w przerwie meczu
17.45 Telewizyjna Panorama Lubelska
19.00 Studio festiwalowe — Opole '89
19.30 Requiem — Giuseppe Vendiego — dyryguje Krzysztof Penderecki (transmisja koncertu z kościoła św. Piotra i Pawła w Katowicach) Wyk.: WOSPRiTV w Katowicach, chór Filharmonii Narodowej i soliści
21.10 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów Programu II
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” (25) — serial TVP
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluszak (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-89 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231. WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71. Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach. Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.

KTO JEST KIM W REGIONIE

CHMIELARCZYK Andrzej. Lat 60. Żonaty. Żona Irena. Dwie córki: Małgorzata, Joanna. Troje wnucząt: Bartek, Katarzyna, Olga.

Jako student prawa UMCS postanowił zmienić kierunek i przystąpił do egzaminów w Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi, którą ukończył w 1955 roku. Następnie podjął pracę jako aktor w Państwowym Teatrze im. J. Osterwy w Lublinie. Od 1 lutego 1969 roku dyrektor Teatru Muzycznego.

Za sposób na życie uważa pracowitość i pełne zaangażowanie w to, co się aktualnie robi.

GRYTA Wiesław. Lat 48. Żona Jadwiga. Dwoje dzieci: Tomasz i Anna. Mistrz — mechanik samochodowy. Najlepszy blacharz w Lublinie. Od 22 lat prowadzi własny zakład przy alei Warszawskiej.

Uważa, że można żyć dobrze, jeśli pracuje się dwanaście godzin na dobę. Interesuje się sportem.

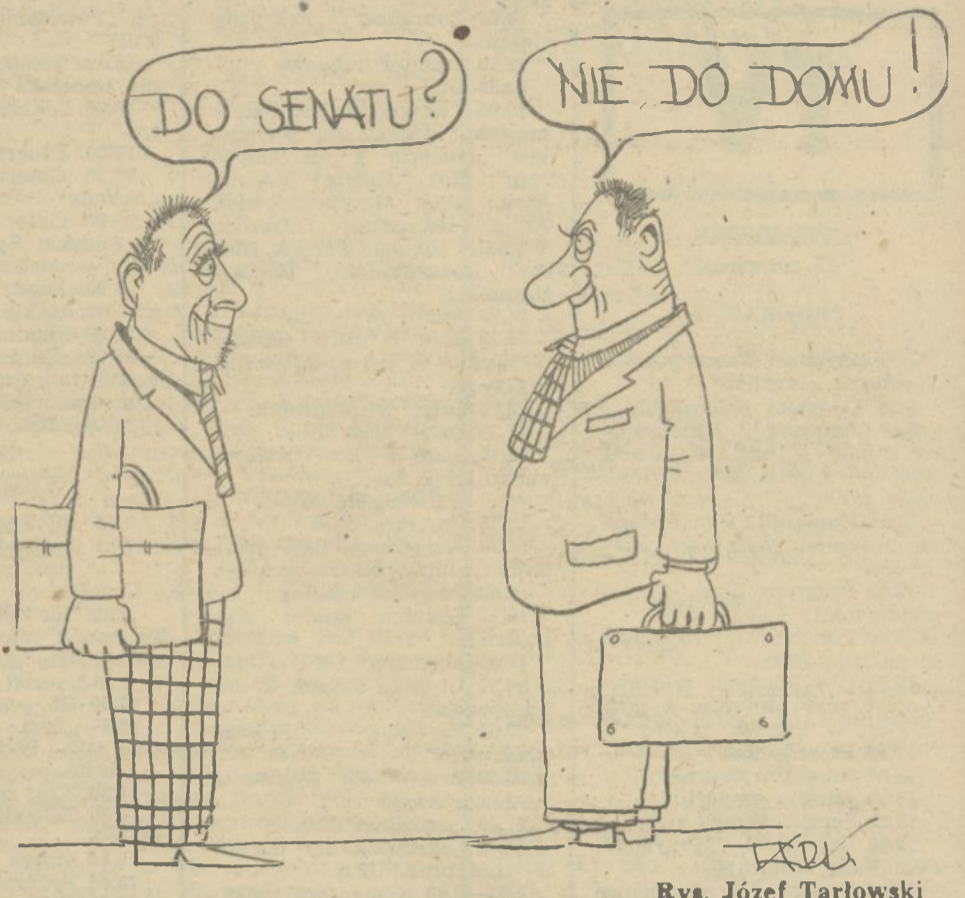
SZYMAŃSKI Irosław. Lat 43. Żonaty. Żona Grażyna, córka Magdale-

na (15-lat). W 1970 roku ukończył Wydział Lekarski Akademii Medycznej. Od 1977 roku zatrudniony na Oddziale Ginekologicznym Szpitala Kolejowego w Lublinie. Od szkoły średniej (II LO im. J. Zamoyskiego) zaangażowany w działalność kabaretowo-artystyczną. Od 1972 — szef kabaretu „Łoża 44”. Przygotował 19 programów dla TV Kraków („Spotkania z balladą”). Autor książki „Tak to widzę”. Następna: „Notatki z marszu” — w przygotowaniu.

Pytanie o sposób na życie uważa za najtrudniejsze. Sądzi, że każdy powinien znaleźć własną receptę. Wolałby w każdym razie żyć krótko, byle aktywnie i kolorowo.

WOJCIKOWSKI Włodzisław. Lat 52. Żona Zofia, syn Grzegorz — dziennikarz PAP. Dwoje wnuków: Adam i Magda. W czasie studiów na polonistyce (UMCS) podjął pracę w Towarzystwie Rozwoju Ziemi Zachodnich. Od 1962 zatrudniony jako dziennikarz w „Kurierze Lubelskim”, następnie zastępca redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”. Od 1981 roku redaktor naczelny „Kurierza Lubelskiego”. Autor kilkunastu przewodników turystycznych. (Hobby: turystyka).

„Jeśli mam dużo zajęć, to dobieram sobie jeszcze jedno, by poczuć się lepiej. To właśnie mój osobisty sposób na życie”.



Rys. Józef Tarłowski

LISTY

W SPRAWIE

TRYBUNAŁU SUMIENIA

W związku z powołaniem Komisji ds. Upamiętniania Ofiar Represji Okresu Stalinowskiego pozwałam sobie zaproponować, aby Komisja zajęła się nie tylko ofiarami represji i cmentarzami, na których spoczywają, ale również członkami aparatu, który dokonywał tych zbrodni.

Niedawno w jednym z domów kultury w Moskwie w ramach „Tygodnia sumienia” zorganizowano publiczny sąd nad stalinowskimi represjami i przyjęto rezolucję domagającą się wydania tzw. „Czarnej Księgi Pamięci”, zawierającej nazwiska wszystkich tych, którzy współuczestniczyli w zbrodniach.

Radziecki prawnik Borys Wiktorow oświadczył, że jest już za późno, aby „ciągnąć na procesy sądowe starców z dawnego stalinowskiego aparatu, odpowiedzialnych za udział w zbrodniach”. Trzeba natomiast, jego zdaniem, koniecznie nazwać ich po imieniu. Winni powinni być znani opinii publicznej. Dla sądu sumienia nie powinno być przedawnienia.

Proponuję zatem, aby Komisja spowodowała dokonanie rejestracji ludzi, którzy brali u-

dział w represjach stalinowskich jako sędziowie śledczy, prokuratorzy, sędziowie wyrokujący i Najwyższego Sądu Wojskowego, pracownicy władz bezpieczeństwa, Głównego Zarządu Informacji Wojskowej i Głównego Zarządu Sądownictwa Wojskowego oraz jako członkowie partii i władz, którzy swymi publicznymi oświadczeniami sugerowali sędziom śledczym że niewinni oskarżeni byli niebezpiecznymi wrogami ludu, nie chcącymi przyznać się do winy, a więc zasługującymi na bezlitosne traktowanie w śledztwie.

Rejestr taki winien zawierać również informacje o losach tych ludzi po zakończeniu represji: którzy z nich zostali skazani za popełnione zbrodnie, którzy zaś kontynuowali pracę w sądownictwie, bezpieczeństwie, wojsku i innych resortach, awansowali, otrzymali ordery i emerytury zwykle lub dla zasłużonych.

Następcy Bieruta — Gomułka i Gierek — nie pociągnęli bowiem do odpowiedzialności sprawców zbrodni, w rezultacie utrwalając do dziś dnia podział między rządzącymi a społeczeństwem.

Dopiero Krajowa Konferencja Delegatów PZPR w m.aju br. stwierdziła, że nie można puścić w niepamięć tej działalności Bolesława Bieruta i uznała odpowiedzialność za popełnione zbrodnie ówczesnego Biura Politycznego KC PZPR oraz jego komisji sprawującej nadzór nad organami ścigania, w której skład, obok Bolesława Bieruta, wchodził — Jakub Berman, Stanisław Radkiewicz, a uczestniczyli w jej pracach: Hilary Minc, Franciszek Józwiak i Franciszek Mazur.

Spółeczeństwo nasze — jak to ostatnio stwierdzono m.in. w czasie spotkania z inicjatywy wieloświatopoglądowej grupy dialogowej „Consensus” — domaga się pełnego wyjaśnienia wszelkich spraw związanych ze zbrodniami z okresu stalinizmu.

Należy więc kontynuować, rozszerzyć i pogłębić akcję zapoczątkowaną uchwałą Krajowej Konferencji Delegatów PZPR i ustalić nazwiska wszystkich uczestników tych zbrodni.

Ostatnio wysuwa się projekty wzniesienia pomnika dla uczczenia ofiar stalinowskich represji.

Nie ulega wątpliwości, że najlepszym pomnikiem będzie — jak to się proponuje w Moskwie — opracowanie i wydanie „Czarnej Księgi Pamięci”, zawierającej nazwiska Polaków uczestniczących w stalinowskich represjach.

Należy się to ich ofiarom i ich rodzinom.

Będzie to i przestroga dla przyszłych pokoleń.

Proponuje się, aby Komisja ds. Upamiętniania Ofiar Represji Okresu Stalinowskiego spowodowała opracowanie i wydanie „Czarnej Księgi Pamięci” zawierającej nazwiska Polaków uczestniczących w stalinowskich zbrodniach.

Dr Mieczysław
Pruszyński
Warszawa

ROZWAŻANIA O MUZYCE Z NAMI CZY BEZ NAS?

Mariusz Dubaj

„MUZYKA łagodzi obyczaje”, wywala człowieka z rzeczywistości i wprowadza w świat intensywnych przeżyć czy choćby tylko odmiennych wrażeń estetycznych. Oplywa ona słuchacza jak woda i wywiera na psychikę określony wpływ: kojący lub pobudzający.

O ile świat materialny dostarcza znacznej ilości interesujących wrażeń wzrokowych (krajobrazy, architektura, przedmioty życia codziennego, postacie ludzkie), o tyle występujący w naturze zakres efektów akustycznych o walorach artystycznych jest zdecydowanie uboższy. Do wyjątków zaliczyć można śpiew ptaków, szum wiatru czy głos ludzki.

Muzykę, aby zaistniała, trzeba najpierw skomponować, potem wykonać, a ponadto w dostępnym odbiorcom. Co więcej, wszystkie te elementy wymagają znacznego zaangażowania psychofizycznego (wielogodzinne i wieloletnie ćwiczenia na instrumencie) czy materialnego (budowa instrumentów, sal koncertowych). A wszystko po to, aby słuchacz przez kilka chwil mógł przeżyć coś pięknego i wartościowego.

Niestety, w naszym kraju godna ubolewania jest ignorancja znacznej części społeczeństwa zarówno wobec przeżyć, jakie daje muzyka, jak też wobec wysiłku ludzkiego i zaangażowanych środków. Być może jest to kwestia gustów i upodobań, wychowania lub też wynik kryzysu, jaki przeżywamy w ostatnich latach.

W Europie Zachodniej, zwłaszcza w RFN, nawet małe miasta posiadają własne sale koncertowe czy teatry operowe, a na koncerty przychodzi tłumy ludzi. Amatorzy, w tym kierownicy czy inni robotnicy, wcale nie tak rzadko posiadają bogate płytki i znakomicie orientują się w sprawach muzycznych. Ktoś powie, że to inna kultura, społeczeństwo, warunki życia, możliwości. Ale to chyba nie przypadek, że tamci ludzie osiągają obecnie wyniki gospodarcze znacznie lepsze od naszych. Również to nie przypadek, że pracodawca jest zainteresowany tym, aby robotnik miał dobre samopoczucie, a w rezultacie, aby lepiej pracował.

Czy muzyka jest szansą na lepszą kondycję psychiczną i moralną społeczeństwa? Trudno na to odpowiedzieć twierdząco, obserwując totalny alkoholizm, zawiść, zobojętnienie, spekulację i p. Muzyka istnieje i rozwija się bez nas. Tylko czy my bez niej zyskujemy na wartości i czy stajemy się lepsi?

W numerze 23. opublikujemy:

ALBO ATOM, ALBO BUSZ ● JEDEN Z KATYNIA — C.D. ● „KLAWISZ” Z ZAMKU ● PAMIĄTKI POLSKIE, PUŁAWSKIE ● SAMORZĄD — LEK CZY PROTEZA? ● KUMOTRZY ZE SPÓŁDZIELNI „CZUBY” ● ŚLADEM „STU Z LUBLINA” ● SOŁŻENICYN — DOK. ● JAK PRZEGRĄLEM WYBCRY? ● LUBELSKA WIOSNA TEATRALNA